

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A. we FRANCJI

ROK 2.

1-15 LUTEGO 1945

NR. 3-4 (11-12)

PAWEŁ SUPER - A Wójcicki -

Osoba Pawła Supera nie da się oddzielić od Polskiej Y.M.C.A. Cały kierunek pracy, rozrost organizacji i jej żywotność - wszystko to związane z jego osobą, dlatego też rzucenie kilku spostrzeżeń na temat indywidualności tego nieprzeciętnego działacza jest zarazem przyczynkiem do charakterystyki Polskiej Y.M.C.A.

Super przybył do Polski w r. 1923 jako specjalista do szkolenia personelu. Był w siłę wieku i miał za sobą pracę w kilku częściach świata, w U.S.A., jako działacz Imki wśród młodzieży uniwersyteckiej, na Hawajach, jako twórca i organizator organizacji hawajskiej Y.M.C.A., w Chinach i t.d. W Polsce zabrał się do swej właściwej pracy z miejsca z taką energią, że na miejsce porażonej liczby pracowników amerykańskich szybko dobrał i wyszkolił Polaków, tak, że w parę lat po jego przybyciu nie było już ani jednego pracownika amerykańskiego, a cały ruch w jego rękach mocno okrzepł w terenie, związał się ze społeczeństwem i w życiu społecznym polskim począł odgrywać coraz większą rolę.

Interesuje nas jednak w tej chwili nie historia rozwoju organizacji, ile osobowość jej głównego działacza. Gdyby ktoś chciał krótko scharakteryzować Supera, powinien podkreślić trzy główne cechy: jasny umysł - żelazną wolę, gorące serce.

Kluczem do sukcesów w jego pracy jest przede wszystkim żelazna wola. Super żyje w trybach narzuconych sobie z fantastyczną pedanterią. Jego dzień, miesiąc, rok pracy, jest z góry pokratkowany planami, zobowiązaniami, zebraniem, wyjazdami, ale też codziennie musi się znaleźć godzina na własną lekturę i pogłębianie wiedzy.

Z natury umysł żywy i wszechstronny; chwytający fakty z różnych dziedzin, a obok tego ujęty

w kleszcze silnej woli daje zjawisko celowego i uporządkowanego życia i postępu niespotykane wśród Słowian.

Podziwialiśmy nieraz Supera, jak przytłoczony obowiązками, czy podniecony faktami historycznych zdarzeń, bodaj nigdy nie zapomniał o tym, że we wtorek czyta od 9-10 wieczór najnowszą książkę pedagogiczną, we środę powieść nowoczesną, a w czwartek dzieło o strategii.

To ostatnie "hobby", nie jedyne zresztą wśród licznych zainteresowań i zaników bardzo wpływających na sukcesy jego pracy.

Super zebrał w swojej bibliotece i przeczytał wszystkie wybitniejsze dzieła o strategii i przeniósł jej zasady do życia społecznego i wychowawczego.

Kiedyś intuicyjnie zaproponowałem mu wygłoszenie odczytu w T-wie Polsko-Angielskim w Gdyni na temat "Strategia życia codziennego" i wtedy ze zdumieniem spostrzegłem, że tak odległe od roboty społecznej "hobby" jest kamieniem węgielnym jego działalności i sukcesów.

Super jest bowiem w pracy społecznej strategiem i... modny to dziś wyraz... planistą. Planuje nie tylko życie własne, ale również wzrost organizacji. W r. 1926 inspirował opracowanie "Planu rozbudowy Polskiej Y.M.C.A. na lat piętnaście" i w sposób zadziwiający ten plan, to, zdawałoby się "budowanie zamków na lodzie" realizował z pełnym wyczuciem taktyki i strategii społecznej.

Do realizacji takiego dzieła potrzebna jest jednak nie tylko wola, ale i wiedza. Super posiada osobliwy zespół wiadomości z dziedziny nauk społecznych, psychologii, pedagogiki skonfrontowany z ogromną praktyką życia w wielu krajach i społeczeństwach i stąd wyjątkowo bezcenny.

Znając podobny formalny zakres tej wiedzy ze studiów uniwersyteckich, zawsze z wielkim zainteresowaniem patrzyłem, jak ta, zdawałoby się



Cz 31892/1945/3-4

1604 c 1976

odderwana wiedza, nabierała w jego rękach wartości praktycznych, jak np. zasady psychologii grupowej umiał w sposób prosty stosować do pracy zarządów, komitetów, kół, jak nowoczesne teorie pedagogiczne włączał w program "działu młodych" Imki, w programy obozowe i t.p.

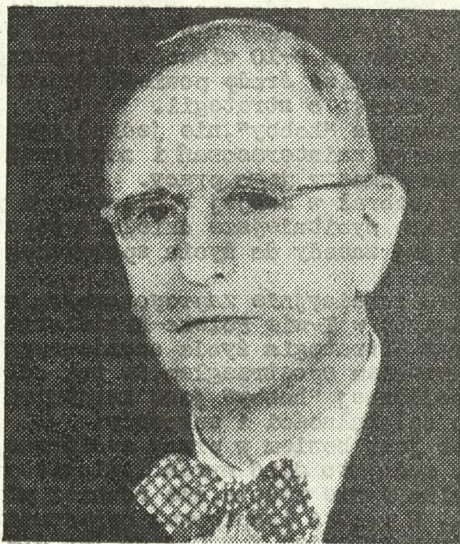
Moge dziś śmiało stwierdzić, że lata współpracy z Superem były dla mnie drugim uniwersytetem, może potrzebniejszym w życiu, niż sucha wiedza.

W warunkach polskiej, dość ubogiej rzeczywistości pracy społecznej, jego wiedza i doświadczenie przerastały otoczenie, tak jak czołgi i samoloty przewyższają kawaleryjskie metody wojowania. Super kładł nacisk na wykształcenie specjalnego typu zawodowego pracownika społecznego, ciągle go dokształcał na zebraniach, wykładach i kursach, ukazywał szerokie horyzonty i powiązania tej pracy, którą określał, jako "inżynierię społeczną", tym trudniejszą, że mającą do czynienia ze skomplikowanym mechanizmem dusz ludzkich i nastrojów zespołowych.

W inspirowaniu swoich pracowników był niezmordowany, czasem bezlitosny, gdyż trafiając nie raz na płomienne typy słowiańskie rozpalał ich ambicję pracy do białości i wyczerpywał przedwcześnie.

Zresztą wielu wyszkolonych pracowników porównało mu z Imki życie polskie, łaknące tego szczególnego typu "krzyżówki": temperamentu Słowiańskiego i szkoły sumienności i punktualności anglosaskiej. Nie tylko pracownicy Imki, ale również setki przodowników, wolontariuszów wyróżniało się w życiu polskim specyficznymi cechami: umiejętnością pracy zespołowej, tolerancją, punktualnością i t.p. przymiotami.

Super dawał nam Polakom wyjątkową szkołę punktualności. Nie wiem, czy przez 18 lat pobytu w Polsce spóźnił się kiedykolwiek. To była jedyna rzecz, która mogłaby oblać go penssem.



PAWEŁ SUPER

Dyrektor Generalny Polskiej YMCA, znany z gorącego oddania służbie dla Polski, który swą nieustraszoną i ofiarną pracą związał na trwałe swe imię z naszym krajem

Na wizytach u ministrów, kiedy rozmowa przeciągała się zbyt długo, grzecznie i stanowczo przerywał, gdyż nie do pomyslenia było, by np. spóźnił się na zebranie z klubem dwunastoletnich zbieraczy znaczków pocztowych. Nie znosił opóźnień.

nien. Gdy kierownik nie przysłał miesięcznego raportu z pracy na termin, Super przysyłał telegram jeden, drugi, trzeci...

Znaczkami przypominały mi o innych "hobby". Super kochał się w zbieraniu rzeczy polskich, jego mieszkanie w Warszawie było prawdziwym muzeum, a dwa szczególnie tematy pasjonowały go:

Stare mapy polskie i pamiątki po Janie Zamyskim i Batorym.

Z każdej podróży, a zjeżdżał świat wzdłuż i wszereż, starannie zapisując liczbę przejechanych kilometrów, ilość zwiedzanych miast i t.p., przywoził mapy i z dumą pokazywał gościom.

Zainteresowanie Janem Zamyskim to tylko pewien fragment jego studiów nad życiem polskim, w które grzązł coraz głębiej i pokochał, chociaż się może z tym i nie zdradzał.

Tak jak do wszystkich spraw w życiu podchodził z optymizmem i entuzjazmem, tak i w sprawach polskich stał się patriotą, obrońcą naszych interesów zaciętym i gorącym. Im bardziej zaciągali się chmury nad Polską, tym gorliwiej nam pomagał, pisząc różne broszury o Polsce dla Amerykanów /min. miesięcznik-gazeta scienna "News from Poland"/. Jego małe dziełka: "Across Poland", "Events and personalities in the Polish History", "Elements of Polish Culture as seen by a resident foreigner", czy praca większa "The Polish Tradition" z natury rzeczy nie są pracami źródłowymi, ale za to sposób ujęcia i podejścia jak najbardziej odpowiada prostemu człowiekowi Ameryki.

Marzył całe życie, że napisze oryginalną, wielką pracę o Janie Zamyskim, "największym Polaku" - jak zwykł go określać, - ale nawał pracy codziennej zawsze go od tego ulubionego tematu odciągał.

W życiu towarzyskim jest pełen uroku. Na zebraniach zawsze wносил właściwy ton, zgłaszał najtrafniejsze wnioski, w towarzystwie sypał jak z rękawa anegdotami politycznymi z bieżącego życia polskiego, które tym większy wywoływały śmiech, że opowiadane były zazwyczaj w lapidarnym języku "superowskim", o którym zwykł mawiać, że "przypomina język polski".

Trawiony gorączką czynu, ruchliwy, gotowy do wszelkiej pracy, rozchorował się w 1938 roku ciężko na serce i z miejsca z żelazną konsekwencją przeprowadził kurację. Pamiętam jak mnie przytrzymywał za rękę, mówiąc: "Wolniej, wolniej - według recepty 15 kroków na minutę". Nawet choroba miała ustąpić przed wolą wyjątkowej siły.

Wrodzona żywiołowość użysłu i uczuć ujęta jest u niego w karby woli w każdej dziedzinie. Super jest abstynentem z przekonania: nie pali, nie pije, można by go określić dziesiątym prawem harcerskim, że jest "czysty w myśli, mowie i uczynkach".

Całym jego życiem kieruje głęboka religijność.

Nieraz zastanawiałem się, co tego człowieka, tak wyjątkowo zdolnego organizatora, który mógł w Ameryce zdobyć wielki majątek, jako kupiec, inżynier, przemysłowiec, - co pchnęło go na drogę zawodowej pracy społecznej?

Trudno odkryć sprężyny, które formują historię osobowości, mam wrażenie, że zadecydowało tu w pierwszym rzędzie powołanie. Głęboka religijność przedświeca całą jego osobowość, tak bardzo nowoczesną i świecką. Jako protestant, wobec katolików jest pełen taktu i delikatności. Z radością brał udział w nabożeństwach katolickich, odprowadzanych z okazji zjazdów i zebrań.

Bolał go głęboko pełen rezerwy i nieufności stosunek kościoła katolickiego do pracy Polskiej Imki i cieszył się szczerze, gdy na wielu odcinkach współpraca ta nawiązywała się i pogłębiała, czy to w obozach, czy w działach i bursach chłopców. Szczególnie dobre stosunki łączyły go z Jezuitami, np. z ks. Kuznowiczem, a głęboką radością napełniał fakt delegowania przez ks. Arcybiskupa Sapiehę łącznika i obserwatora do Imki polskiej ks. S., z pochodzenia Polaka z Ameryki.

Super nie mógł zrozumieć większości inteligencji polskiej, która albo obojętniała religijnie, albo popadała w dewocję - pragnął widzieć w każdej pracy głęboką żarliwość i odwoływanie się do opieki Boskiej sprzęgnięte z realizmem życiowym, tolerancją dla innych wierzeń, energią czynu. Chciał zgodnie z zasadami Imki budować typy prawdziwych chrześcijan w życiu i pracy.

Jeżeli do 1-go września 1939 Super mógł wydawać się dla wielu człowiekiem zimnym, opancerzonym stalową wolą, to żelazne te obręcze anglosaskońskie pękły w obliczu katastrofy Polski, jego drugiej ojczyzny i w całej pełni ukazało się polskie, gorące serce.

Już na kilka miesięcy przed wojną organizował w kraju i poza granicami prace przygotowawcze pomocy żołnierzowi, od pierwszego dnia wojny postawił siebie i całą organizację do służby krajowi, przez 18 dni września, gdzie się znalazł, wyczarowywał tego samego dnia punkty, kantyny, domy żołnierza i t.p.

Dosłownie w pierwszych godzinach w Rumunii zaalarmował depeszami świat anglosaski: panią Roosevelt, przyjaciół w Ameryce, w Anglii /gdzie przygotowana przez Polską Y.M.C.A. organizacja pomocy przemieniła się we wrześniu na Polish Relief Fund/ i z miejsca zorganizował pracę społeczną w Rumunii i na Węgrzech, którą oceni bezstronnie historia /kiedy opadną zawiści i nikczemne plotki zrodzone z nieszcześcia/, jako jedno z cudownych zjawisk błyskawicznej pomocy społecznej.

W Rumunii, w jednym z obozów padło jedno z jego wzruszających powiedzeń: "Byłem z wami kiedy świeciło słońce i jestem, kiedy pada deszcz".

Wzruszalność Supera na uchodźstwie upodobniła się do temperamentu polskiego. Płakał na pierwszych przedstawieniach polskich, a kiedy dostał pierwsze depesze o zapewnieniu pomocy zaczął tańczyć, wciągając wszystkich w biurze do koła, w jakiś taniec indyjski, z rytmicznym i komicznym refrenem:

"Będzie pieniądze, będzie robota, będzie pomoc".

Kiedy wysyłał mnie we Francji do pierwszej świetlicy w Carpiagne, ucałował siarczyście z obydwu stron i z rozmachem staropolskim, co mu się nigdy nie zdarzało.

Zbiega czwarty rok wojny, a Super mimo podziału wieku dwoi się i troi, organizując pomoc dla Polaków, gdziekolwiek się znaleźli: w obozach jeńców, w Niemczech, czy jako internowani na Węgrzech, w Rumunii, Szwajcarii i Francji, w obozach żołnierskich Szkocji, Iraku i Palestyny, czy osiedlach Afryki Wschodniej.

Ale obok tej pracy organizacyjnej Super rozwinął działalność propolską o rzadkim natężeniu.

W tej chwili ma za sobą 422 odczyty, wyłożone w 178 miastach Stanów Zjednoczonych A.P. Czy wiecie, co to znaczy dla stergo człowieka

pędzić z jednej strony rozległej Ameryki w drugą, pokonując życie spędzać w pociągach, by mówić z miłością i energią o kraju, który nie jest jego krajem ojczystym.

Ten przybrany kraj pokochał całym sercem. W listach karmi nas optymizmem, jak prawdziwy Polak, albo też robi to żeby nas pocieszyć. Zawsze zapowiada bliski koniec wojny i "święta w Warszawie".

Marzy o dokonczeniu ruchliwego żywota w Polsce, chociażby przyszło tam jeść tylko "zsiadłe mleko z kartoflami". Rwie się do pracy przy odbudowie powojennej i już gotuje plany pomocy z zagranicy.

Byłoby krzywdą dla obrazu tej indywidualności gdyby nie wspomnieć o jego "drugiej połowie", o pani Super.

Ta cicha, wyjątkowa dobra, bardzo wykształcona kobieta, nie tylko dzieli z nim uczucia sympatii do Polski, ale i trudy, oraz prace dla tego kraju.

Niez mordowana orędowniczka sprawy polskiej w wielu pismach, jako stała korespondentka /pod pseudonimem/ do bardzo wpływowego dziennika "Christian Science Monitor" mocno ujmuje się za nami.

Wspólnie stanowią niezwykle zjawisko przyjaciół Polski, oddanych sprawie i umiejących zyskiwać świat dla niej.

Może też ważniejsza niż wysokie odznaczenia, jakie oboje posiadają /pan Super Komandorię "Polonia Restituta", a pani Super "Złoty Krzyż Zasługi"/ jest głęboka wdzięczność Polaków. Bez przesady można powiedzieć, że państwo Superowie są jednymi z najbardziej znanych wśród Polaków i popularnych osobistości Amerykańskich.

Wierzę, że oboje wrócą do Polski i pomogą nam w najcięższych latach powojennych. Chciałbym tam kiedyś być świadkiem audencji pana Supera u ks. Arcybiskupa Sapiehę i patrzeć z boku na piękne profile tych dwu mądrych stralców, może tak odległych od siebie pochodzeniem, kulturą, ale zarazem tak podobnych, gdy idzie o poczucie obowiązku, tak mocno trzymających gorące serca w korbach żelaznej woli i obowiązku.

Chciałbym spisywać rozmowę, którą przyjaźnie toczył będą o współpracy nad odbudową zniszczonego kraju, o rozbudzeniu w młodzieży entuzjazmu i wiary w tworzenie nowego życia w nowej epoce ludzkości.

SULKOWSKI - STEFANA ŻEROMSKIEGO - AKT IV.

Sulkowski: - Nie chcę wrócić do kraju okryty delią łatwej wielkości. Mój świat czci tylko to, co najprzód uczę obcy. To prawda. Lecz moja wielkość musi być być przede wszystkim w mym sercu zdobyta, wyszarpana siłą z nicości, szpada wzięta w zawziętym trudzie. Skoro zdobędę moją własną wysokość własną mocą, wówczas dopiero własną mocą zdobędę ojczyznę. Bo ja w każdej minucie mego życia zdobywam i tworzę ojczyznę. I zawsze czuję tak, jakby się we mnie ze samym sobą mocował cały naród polski. Muszę nasamprzód stworzyć za cały naród moją wolę niezłomną i dopiero potem narzucić ją zewnętrznemu światu.

KOBIETA PRACY

"Praca kobiety - mówimy z uśmiechem pewnego wyrozumiałego protekcjonalizmu. Czasem ze zniecierpliwieniem i lekceważeniem nazywamy ją poprostu "babką robotą", zawsze z wyższością odnosząc się do całego szeregu czynności, stanowiących, według zgodnego powszechnego sądu, domęną działalności kobiecej.

Spróbujemy poświęcić kilka chwil poznaniu, jak się przedstawiało praktycznie zagadnienie pracy kobiety w Polsce przedwrzesniowej.

Ale najpierw parę cyfr o kobiecie w Polsce wogóle.

W czasie ostatniego spisu ludnościowego w 1931 r. kraj nasz zamieszkiwało 16 milionów 488,3 tys. kobiet, wobec 15 milionów 427,5 tys. mężczyzn, czyli innymi słowy: na każdych 100 mężczyzn przypadało w Polsce 106,9 kobiet.

Olbryzia większość kobiet mieszkała na wsi, bo aż 11 milionów 860,7 tys. /wobec 11 mil. 324 tys. mężczyzn/. W porównaniu procentowym wynosiło to: na wsi na każdych 100 mężczyzn 104,7 kobiet, w mieście - na 100 mężczyzn 112,8 kobiet.

Jednym słowem, podobnie jak w całej Europie, więcej niż połowa ludności naszego kraju to kobiety.

Nie od rzeczy będzie dla uzupełnienia dodać jeszcze jedną cyfrę. Przeszło połowa całej liczby kobiet /8 mil. 626,5 tys./ była w wieku największego wysiłku pracy t.j. od 15 do 49 lat.

Zanim jednak przejdziemy do omawiania samego zjawiska pracy kobiet wspomnijmy nawiasowo, że ta nadwyżka liczby kobiet nad liczbą mężczyzn, zarówno u nas jak i w całej Europie, nie wynika z mniejszej ilości urodzin chłopców niż dziewcząt. Powstaje ona dopiero z biegiem czasu z powodu szybszej wymieralności mężczyzn.

W wieku od 0 do 9 lat w 1931 r. na 100-tu chłopców przypadało tylko 97,5 dziewcząt. Ale w następnej dziesiątce lat /od 10 do 19 roku/ okazuje się, że "płóć słabsza", mniej odporna na warunki życiowe, jest mężczyzna i na 100 mężczyzn przypadało już w tym okresie 103 kobiety. Następnie procent kobiet rośnie coraz więcej, aby na 100 mężczyzn w wieku ponad 59 lat było aż 118,5 kobiet.

Ale dość już chyba tych suchych cyfr i przejść możemy do zastanowienia się nad perspektywami jakie stają przed 15-letnią dziewczyną. Jaki kierunek ma sobie wybrać w dalszej drodze życia?

Najłatwiej, z wiekami uświęconą tradycją, jest doradzić młodej kobiecie aby poszukała męża, "wydała się za mąż" - jak to się zwykło mówić. Rada jest prosta, posłuchać jej trudno. Wyobraźmy sobie, że dziewczę z pomocą całej rodziny zapuszcza siodła i łowi upragnionego kandydata na przyszłą "głową" nowego "domu", ale nie jest to takie łatwe, skoro łowiących więcej niż łowionych.

Rozpatrzmy tylko dla przykładu sytuację kobiety w mieście. Najczęściej wychodzą za mąż mieszkanki naszych miast w wieku 20-24 lat /40,6 procent/, następnie 25-29 lat /26,3 proc./. Podobnie zresztą jest i wśród mężczyzn, których znaczna większość żeni się w tym okresie.

Gdyby jednak wszyscy oni zdecydowali się zmienić w tym czasie swój stan cywilny i pojąć za małżonki swoje rówieśnice, spora ich garść

poznać by musiała "gorycz" staropanieństwa. Na 100 mężczyzn bowiem w wieku 20-29 lat przypadało w naszych miastach 119,8 kobiet. Te pozostałe 20 panien po przekroczeniu 30 roku życia napotykałyby jednak sytuację równie, jeśli nie coraz bardziej, niekorzystną.

W tych warunkach doradzanie młodej kobiecie aby w dalszej drodze życia jako jedyny cel wybrała sobie zawód "pani domu", byłoby sporym lekkomyślnością. Chociażby jako asekurację należało jej zalecić naukę jakiegoś fachu, umożliwiającą dalsze bytowanie.

Dodajmy dla jasności obrazu, że podobna sytuacja jest nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Własny przykład jest tylko bardziej wymowny.

Tak przedstawia się sytuacja, gdybyśmy stanąć zechcieli na stanowisku najbardziej tradycyjnym. Ale nikt już nie myśli przestarzałymi kategoriami. Kobieta coraz lepiej poznaje swoją wartość, do coraz większego szacunku dla swej pracy zmusza mężczyznę.

Skoło jednak stwierdziliśmy koniecznie, że jeśli nie chce się ona stać bezpotrzebnym ciężarem społeczeństwa, przejść możemy z kolei do zastanowienia się, jak wyglądała wogóle praca kobiety w Polsce. A była ona rozliczna i ogrom kobiecego wysiłku nie był nawet przez nią samą doceniany.

Czym jest kobieta na przeciętnej wsi polskiej? Łatwiej na to pytanie odpowiedzieć przez określenie czym nie jest. Roboty, które należą do obowiązków mężczyzny, wymagają znacznego wysiłku fizycznego jak np. orka, miódka i t.p., lub też, jak np. siew, należą do niemal obrzędowych funkcji kultury rolnej. Wszystko inne należy do kobiety.

Dziewczyna wiejska przyzwyczaja się od małości, że jest domowym popychadkiem. W czasie wolnym od nauki szkolnej, a niejednokrotnie podczas opuszczonych godzin lekcyjnych, pomaga ona komuś ze starców w paseniu bydła, nosi pracującym na polu pożywienie, biegnie na wszelkie posyłki do sąsiadów i sklepiku, wreszcie pomaga w kuchni w pracy nad przygotowaniem posiłku. Z chwilą gdy siły jako tako zaczynają na to pozwalać, wciągana zostaje do szeregu prac rolnych jak pilenie, okopywanie, kopanie, pomoc przy żniwach i t.p. Na nią spada wreszcie coraz więcej zajęć domowych i t.zw. podwórzowych. Wreszcie małżeństwo i około lat 20 licząca młoda gospodyni zajmować się zaczyna, już samodzielnie, gotowaniem, praniem, sprzątaniem, hodowlą drobiu i trzody, gospodarką mleczną, często podręcznym ogródkiem warzywnym, z reguły niemal przędzą, a nierzadko i tkactwem, a wreszcie wychowaniem dzieci.

Nakoniec, gdy starość grzbiet pochyli, zmienia się rodzaj pracy. Artretyzmem powyrzwywane palce, prząść będą z artystyczną prawą cieniutką lnianą nicią, wyblakłe oczy wysilać się będą, by jak najrówniej poprowadzić ścieg szytej czy reperowanej bielizny. A gdy i na to braknie już sił, a wnuki zbyt małe jeszcze będą, powlecze się starowina na ławkę, by zmęczonym, schorowanym głosem, z pomocą jakiegoś "burka", nawoływać pasące się krowy.

Mówi się popularnie, że "na wsi praca jest latem i jesienią, mniejsza na wiosnę, a zimą żadna". Tak się mówił. Powiedzenie jest znane szeroko, więc może to i prawda. Ale trudno w to uwierzyć, gdy się patrzy na kobiety naszej wsi, noszącą olbrzymie sagany gotowanych kartofli do chlewu, zapamiętałe ugniatające w wielkiej dzieży ciasto na chleb, równo, systematycznie pracującą śpiwnie furgoncikiem koło małego przedziałniczego warsztaciku. Mało było jeszcze w Polsce mechanicznych, spółdzielczych masłarni, nie dziw więc, że spływał nieraz pot z czoła starej gospodyni, gdy z zaciekleścią biła tłuczkiem śmietanę mającą powędrować do miast w postaci maślanej odekki.

Może to i prawda, że na wsi w zimie się nie robi. Nie należy jednak chyba do zadań najprzyjemniejszych kilkunasto nieraz kilometrowa droga do najbliższego miasteczka, pieszo, bo szkoda konia zakładać, aby tam o wczesnym zimowym ranku zająć miejsce na rynku z kilku kawałkami masła i paru mendlami jaj. A trza nieraz długo stać, by dobrą dostać cenę, trza się silnie chustką owijać, nie dopuszczając przenikliwego wiatru. Ale innej rady nie ma, bo w domu brak nafty, soli, skoniń do okraszania, a czasem i leku dla kogoś z rodziny, czy uchronić Boga, bydłęcia.

Trzeba stać długo i uparcie targować się z miejską paniusią, bo i tak nie na wszystko starczy i tak się nie zdoła kupić dziecku upragnionego rogala z białej, pszennej maki, której tyle wyszło się ze wsi.

Ale, kto wie? Może to wszystko zabawa a nie praca. Może to nie od pracy tak pochyliły się babaskie plecy, od rozkoszy popękały szczerbaki trzęsące się ręce, to radość tak poorała bruzdami przedwcześnie postarzałą twarz.

I dziwne się wydaje, gdy mądrzy ludzie powiadają, że na wsi pracuje się za mało. A może przez pomyłkę zdanie to odnosi się do miast?

Wiele w nim przebywa kobiet, bo, jak już wyżej powiedziano, aż prawie 113 na 100 mężczyzn. Licząc cyframi bezwzględny ponad 4 miliony 627 tys. kobiet mieszkało w czasie ostatniego ogólnego spisu w miastach polskich.

Co robiły te kobiety? Zajmijmy się najpierw tymi, które statystyka zwykła nazywać "czynnymi zawodowo". Było ich w tym czasie w Polsce aż 1 milion 673,6 tys. Część z nich zajmowała samodzielne stanowiska w handlu, przemyśle czy komunikacji. Część stanowiły emerytki, rentierki itp. Ale gros kobiet czynnych zawodowo, to pracownice najemne. Liczba ich wynosiła 1 milion 61,5 tys., w tym 197 tysięcy pracownice umysłowych i 864,5 tys. robotnic.

Zastanówmy się chwilę nad tymi cyframi. Jeżeli byśmy wyobrazili sobie sytuację całkowicie fikcyjną, że wszystkie kobiety są zdrowe i zdolne do pracy, nie ma kalek, chorych, kształcących się, zajmujących się sprawami rodzinnymi i t.p., jednym słowem zaliczmy do nadających się do pracy wszystkie kobiety od 15 do 59 roku życia włącznie. Osiągnemy w ten sposób dla miast polskich ogólną sumę 3 milionów 88 tys.

Pozostaną nam więc poza tymi kobietami tylko dziewczęta w wieku szkolnym i przebywające już na zasiłkowym wypoczynku niewiasty powyżej lat 60.

Porównajmy teraz te cyfry z ilością kobiet czynnych zawodowo: 3 miliony 22 tys. i 1 milion 673,6 tys. A więc przeszło połowa wszystkich kobiet i dziewcząt w wieku nadającym się do pracy wykorzystuje swoje możliwości, a więcej niż 1/3 należy do grupy pracowników najemnych.

Nie trzeba być zbyt baczny obserwator, aby zauważyć, że dla większości tych wszystkich kobiet, pracujących zawodowo, praca w fabryce czy w biurze była tylko częścią ich zajęcia. W domu

czekał je ogrom robót związanych z obecną formą gospodarstwa rodzinnego, czekała je troska o męża i dzieci.

Sprawa młodego pokolenia najściślej wiąże się z zagadnieniem pracy i jej warunków. Nic w tym dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak wielki procent kobiet trudni się pracą zarobkową, a z drugiej strony zechcemy dojrzeć, że na tablicy płodności Polski zajmują czołową pozycję.

Weźmy tylko dla przykładu dane r. 1930 dla kilku państw europejskich. Na 100 kobiet w wieku 15-49 lat liczba dzieci wynosiła u nas 10,9, w Anglii - 5,6, we Francji - 6,7, we Włoszech - 9,5, w hitlerowskich już Niemczech /1935 r./ - 5,2.

Rodzi się u nas wiele dzieci, ale jak są wychowywane? Olbrzymia część matek zmuszona jest doglądać dziecka w godzinach wolnych od pracy biurowej czy fabrycznej, na resztę czasu pozostawiając je pod opieką, najczęściej nie mającą po temu żadnych kwalifikacji, żadnego przygotowania.

A nie zapominajmy dodać nawiasem, że wśród dzieci polskich był spory procent w naszych warunkach upośledzonych przez sam fakt urodzenia. Przeciętnie w latach 1931-1932 rodziło się w Polsce 57 tys. dzieci nieślubnych rocznie /biorąc pod uwagę tylko urodzenia żywe/. Jakże wiele kłopotów miała w takim wypadku matka-robotnica czy pracownica biurowa?

Nie gromadzimy więcej faktów. Wystarczy chyba już przytoczonych dla zastanowienia się, czym właściwie były wszystkie obowiązujące u nas ustawy, dotyczące ochrony kobiet pracy. Przystąpiła wprawdzie Polska do konwencji berneńskiej z 1906 r., zakazującej nocnej pracy kobiet, rozwinęła ją nieco w ustawie z 2 lipca 1924 r. Nakazano wówczas w zakładach, gdzie pracuje ponad 100 kobiet, utrzymywać dla nich urządzenia kąpielowe oraz żłóbki dla niemowląt. Ponadto matkom karmiącym nadawano prawo korzystania w ciągu godzin pracy z dwóch półgodzinnych przerw.

Zdecydowano się jednak wprowadzić tę ustawę w życie dopiero od 1. I. 1928 r. Nigdy jednak nie była ona całkowicie wykonywana. W 1937 r., a więc po 10 latach działania tych przepisów, zaledwie 56 proc. prywatnych fabryk, zobowiązanych wymienioną ustawą, stosowało się do niej.

A czym była w istocie ta ustawa? Korzystała z jej dobrodziejstw /na dzień 1. I. 1937 r./ zaledwie 68 tysięcy 707 kobiet. Jakież śluszne procent w stosunku do ogólnej liczby pracujących zarobkowo! A jakie ułatwienia w wychowaniu swych dzieci miała pozostała milionowa rzesza robotnic?

Nie potrafiliśmy się zdobyć na zastosowanie w niepodległej Polsce ustawy słusznej, ale dotyczącej skromnego ulamka kobiet pracy. Czy potrafimy się zdobyć na załatwienie całokształtu problemu macierzyństwa robotnicy i pracownicy umysłowej?

Wracajmy jednak do zagadnień bezpośrednio związanych z pracą najemną kobiety.

Kobieta była bardzo pożądaną siłą roboczą w całych gałęziach przemysłu przetwórczego. Wśród młodocianych zaś dziewczęta otrzymywały nawet przeciętnie stawki wyższe niż chłopcy. Tłumaczyło się to tym, że chłopiec rozpoczynał w fabryce praktykę, aby dojść następnie do coraz lepszej płacy. Dziewczęta odbywały praktykę krócej i szybciej dostawały stawki kobiet dorosłych. Nigdy jednak nie mogły one liczyć na zarobki równe mężczyźnie.

Posiadane przez nas dane za rok 1936 wykazują, że zarabiały kobiety najwięcej w zakładach największych, zatrudniających ponad 200 osób. Przeciętnie wynosiło to na godzinę 0,4 zł. Tymczasem zaś mężczyzna w najgorzej płatym małym zakładzie, zatrudniającym do 49 robotników, zarabiał przeciętnie na godzinę 0,59 zł.

Jednym słowem w najlepiej płatnej grupie kobiecej stawki były niższe niż w najgorszej grupie męskiej.

Pożądana była w pracy kobieta, bo była siłą tańszą, były jednak jeszcze i inne walory, czyniące ją wygodną dla pracodawcy.

Do fabryki szła najczęściej kobieta w dzisiejszym ustroju nie z powodzenia lub dla chęci nadmiernego zysku, bo wiele tracić musiała, wiele sobie przysparzała trosk, opuszczając na szereg godzin swój dom. Pchała ją do warsztatu potrzeba gospodarcza, pchał głód własny i, ten ze wszystkich najstraszniejszy, pchał jej głodnego dziecka.

Nie dziw więc, że otrzymana możliwość sprzedania swej pracy cenila nade wszystko, nie dopuszczając do siebie myśli o jej utracie, o nowym widmie głodu.

Niewyrobiona, o małej tradycji robotniczej nie rozumie kobieta wagi związku zawodowego, nie zna sposobów walki o poprawę swojej doli, jest bardziej bierna i bardziej uległa.

Wygodniejsza, tańsza i pokorniejsza, a prztem o niewyczerpanych, zda się zasobach cierpliwości, wytrzymałości w ciągłym wysiłku, dokładna jak rzadko który mężczyzna, - jest kobieta siłą roboczą bardzo pożądaną, dziś już nie do zastąpienia w szeregu działań pracy.

Ale za to nie daje się jej nic. Po przyjeździe z fabryki czy biura czeka ją niezmierny natłok zadań i czynności.

Jakie stąd wyjście? Jaka na to wszystko rada? Powrót kobiety do domowego ogniska? Mówiliśmy już wyżej, że jest to niemożliwe dla wszystkich, choćby przez brak odpowiedniej liczby tychże właśnie "ognisk".

Spróbujmy się sprawę potraktować inaczej: niech kobieta pracuje zarobkowo dopóki nie znajdzie męża. Jeśli zaś nie znajdzie go wogóle, niech pracuje stale. Ale czy wtedy jakkolwiek pracodawca zechce poważnie traktować taką siłę roboczą, której nie warto szkolić, czynić wysiłku nad podniesieniem jej poziomu? Pamiętać będzie przecież, że marzeniem tej pracownicy jest rzucenie pracy. Czy warto byłoby wtedy wydawać pieniądze na kształcenie kobiety? Czy wolno byłoby dopuścić do tego, aby zajmowała ona miejsce mężczyzny, który pożytek ze swej nauki miał by czynić przez całe życie? Niel byłoby to rzeczą szkodliwą z punktu widzenia społecznego.

Ale skoro zamknijemy kobiecie drzwi uczelni, skoro uniemożliwimy jej doskonalenie się w pracy zawodowej, zmusimy ją do spełniania tylko funkcji pomocniczych, jeszcze bardziej pogłębimy jej dziełniejsze pokrzywdzenie jako pracownika drugiej klasy. A czemu ma się tak stać? Czy kobieta nie potrafiła, zarówno przez jednostki jak przez swoją masę dać dowodu swych wartości i swych możliwości?

Musimy nadto wziąć pod uwagę, że atawistyczne obciążenie alkowianego zamknięcia i sypialnianych intryg i intryżek będzie z czasem ustępować. Gdy kobieta bardziej i pekniej zwiąże się z całokształtem życia społecznego, oswoi się ze zwobodniejszą atmosferą bytowania. Wtedy dopiero zmniejszą się minusy kobiety pracy, dobitniej uwydatnią się jej zalety.

Przypuśćmy jednak, że wróca kobiety do swych tradycyjnych zajęć domowych. Czyż nie byłoby to wstecznictwem? Czemu każda kobieta ma mieć zdolności wychowawcze? Czemu urodzić się ma pedagogiem i kucharką jednocześnie?

Skoro nie wszyscy mężczyźni potrafią robić zogarki, nie wszyscy piszą wiersze, czemu wszystkie kobiety mają umieć wychowywać dzieci i gotować obiady?

Usprawniliśmy działalność ludzką w wielu dziedzinach, czemu wciąż w ten sam prymitywny

sposób mamy organizować swoje wyżywienie? Czemu, mimo jej wątpliwych nieraz w tym kierunku zdolności, powierzamy kobiecie rozwój fizyczny i kształtowanie psychiczne młodego pokolenia? Chcemy przecież jednocześnie by nie tylko dziecko żyło po nas, ale nas pod wszelkimi względami przewyższyło.

Czy nie lepiej pozwolić każdej kobiecie - tak jak pozwalamy mężczyźnie - wybierać zawód według zainteresowań i zdolności?

Nie zapominajmy jednak nigdy, że pozostaną zawsze dziedziny, w których kobieta odegrać będzie mogła rolę minimalną, czy nawet żadną, nie ze względu na sztuczne ograniczenia, ale z uwagi na przyrodzone właściwości.

Z drugiej strony nie będziemy mogli zapominać, że taką czy inną będzie praca kobiety, nie mamy prawa zamykać możliwości do jej największego szczęścia - macierzyństwa.

Fabryczne i domowe żłobki dla niemowląt, dziecińce i przedszkola, fachowa, stała i przymusowa opieka lekarska nad matką i dzieckiem - to podstawa, razem z poradniami świadomego macierzyństwa, zdrowia fizycznego i duchowego kobiety, a wraz z nią całego społeczeństwa.

Ogromne, wiecznie niedoceniane, stale pozostające w cieniu możliwości kobiety zużyjemy na jej własny i pozostałego świata pożytek. Nie marnujmy wartościowych sił przeszło połowy społeczeństwa na taniec przy kuchennej blasze. Pozostawmy przy niej te, co robią to z talentem i zamiłowaniem. Reszcie dajmy możność pełnego wyzycia się w pracy, bo wprowadzając w orbitę działalności człowieka nowe, wielkie masy kobiece podniesiemy wspólną, ogólną kulturę.

Proces ten staje się już samoczynny. Co raz to nowe legiony kobiet wkraczają w szranki pracy. Zechciejmy to tylko zobaczyć, zechciejmy zrozumieć i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Pierwszym sprawdzianem tego zrozumienia winno być należyte potraktowanie tej ponad milionowej masy kobiet polskich, co na długo przed obecną wojną umiały stanąć przy maszynie lub warsztacie dla dobra swego i swych najbliższych.

H.J.J.

Kazimierz Wierzyński

INTER ARMA

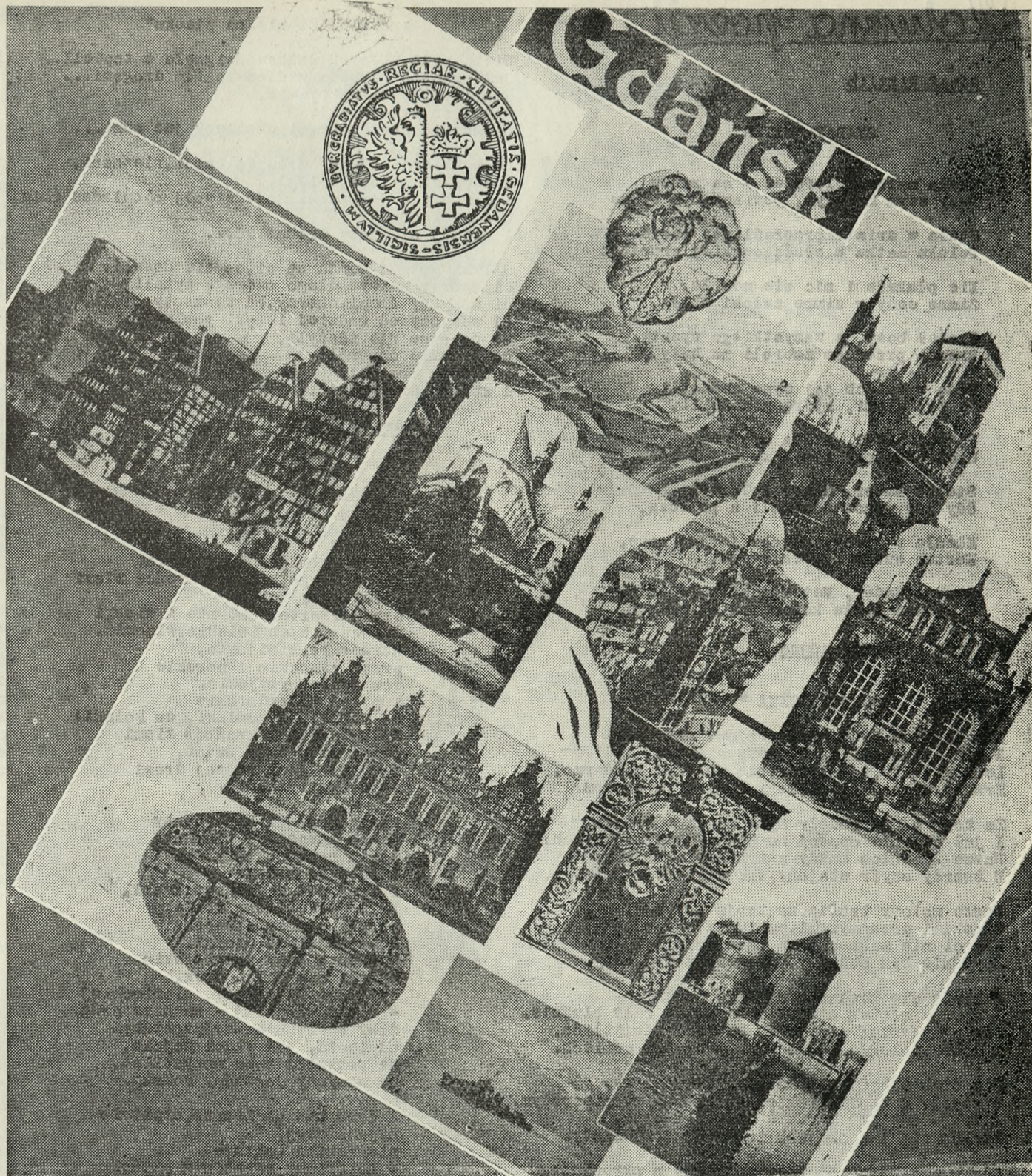
Muzo! Nie lękaj się hałasu broni
I bitewnego nie unikaj szczerku,
To nic, że lira, gdy podchodzisz do niej,
Pęka śród jęku.

Bij w struny! Poskość cię do nich zaprzęgią,
Piorun do ręki podała panięńskiej,
Jeśli pieśń przetrwa, będzie niedosięgią
Nad wiekiem kłęski.

Powrót nam wiare, iż echem dalekiem
Moc się z natchnienia w narody przemycą:
Chcę, aby rzymskim karmiła nas mlekiem
Ziemia Wilczyca. •

I pozwól także na chwilę tej ciszy,
W której powraca, co żyło w nas przedtem
O tem pod wieczór, gdy nikt nie usłyszy,
Zagadaj szeptem.

Pozwól nam jeszcze, niech każdy się przyzna
Do łez, rozpaczy i skrytej słabości,
Zgromadź nas wszystkich, jak zbiera ojczyzna
Prochy i kości.



1) Orzeł polski — spotykany często jako element zdobniczy sal Dworu Artusa; 2) Westerplatte i strefa wolnocłowa w porcie gdańskim; 3) Kościół Mariacki w Gdańsku; 4) Klasztor w Oliwie; 5) Wieża ratusza gdańskiego; 6) Dwór Artusa; 7) Zbrojownia na Rynku Węglowym; 8) Drzwi wejściowe z orłem do tzw. Gdańskiej Sieni; 9) Wysoka Brama z herbami Rzplitej, Gdańska i Prus Królewskich; 10) Polski kontrotorpedowiec „Wicher”; 11) Stare budowle nad Radunią.

Kolumna poezji

Józef Wittlin

STABAT MATER

Stała matka boleściwa - na rynku
Przy swym martwym, powieszonym synku

Stała w świata przeraźliwej pustce
Polska matka w służacowskiej chustce.

Nie płakała i nie nie mówiła,
Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.

Wisiał bosy, z wszystkiego wyzuty.
Niemcy przedtem zabrali mu buty.

Będą w butach jej syna chodzili
Po tej ziemi, którą poharbili.

Po tej ziemi, która umęczona
Stoi - patrzy i milczy - jak ona.

Stabat Mater, Mater dolorosa,
Gdy jej synów odcinali z powroza.

Kładła w groby, głuche jak jej noce,
Martwe swego żywota owoce.

Stabat Mater, Mater nostra, Polonia,
Z cierni miała koronę na skroniach.

Jadwiga Czechowiczówna

" OCHOTNICZKA "

Nie dla nas będą grały bojowe alarmy,
I nie my pochylimy bagnety w ataku,
Lecz abyś ty, żołnierzu, nie walczył na darmo,
Trwamy, wierne Twej broni i orłowym znakom.

Za tobą w bój podąży myśl nasza i troska,
I już cię nie opuści na krwawych przedpolach.
Nasze łącznice każdy przyniosą ci rozkaz
W twardy szyfr utajony, zakrzepły jak wola.

Nasze motory trafią na twoją pozycję,
Górami przesmykami, pustynią bezwodną
Aby ci nie zabrakło na czas amunicji,
Abyś nie był obdarty, spragniony i głodny.

A kiedy cię tęsknota ogranie martwicą,
I gorycz słowem cierpkim na świat cały bluźnie,
Jak przyjaciel pośpieszy ku tobie świetlica,
I dobre polskie słowo - poda ci jak uśmiech.

Dla ciebie będą stukać biurowe maszyny,
W zawody z twoim krokiem żołnierskim, sprężystym.
A żebyś się nie martwił o żonę i syna,
Znajdą cię i w okopach ich serdeczne listy.

Gdy w potyczce ból tępy załomocze w skroniach,
Gdy cię granat porazi, czy kula zadrasnie, -
Opatrzą twoje rany - miękkie, chłodne dłonie
I szepniesz wtedy: Siostró... I będzie Ci jaśniej...

A jeśli się spotkamy, gdy z krwi i popiołów
Nowe powstaną domy - tam w ojczystej stronie -
Nas - matki, siostry, żony - krótkim witaj: - Czołem
Bośmy się wszyscy zrodzi - w towarzyszy broni!!!

Beata Obertyńska

z cyklu "Cienie na piasku"

Wielu było, których łaska dźwignęła z topieli...
Całe rzesze płynące w ślad za Nim drogami...
Umarli, których wskrzesił,
ślepi, co przejrżeli,
niemocni, chorzy, chromi chodzący już sami...

Lecz bliżsi mojemu sercu są tamci, nieznani,
o których milczą księgi,
a o których gorycz mi moja więcej opowiadać umio
niż myśl chce
i więcej niż może zrozumieć...

Bliżsi mojemu sercu są ci, co nie doszli,
ci, którzy nazbyt długo o drogę pytali,
ci wszyscy ślepi, chorzy, od tęsknoty biali,
ci wszyscy od nadziei i miłości pobladli,
co na czas nie zdążyli,
co się nie dopchali,
i którzy zostali
i którzy przepadli...

Andrzej Chociuk

IDZIEMY

Idziemy

przez tyle już długich lat
przez wszystkie już krańce ziemi
przez cały świat -
przez miasta, pustynie i wioski
francuskie, angielskie, włoskie,
norweskie, libijskie,
przez szkockie i perskie
rosyjskie, syryjskie,
i przez holenderskie
do Polski, do Polski, do Polski!
Ze wszystkich krańców ziemi
przez cały cały świat,
bo jeden jest naszej drogi
żołnierski ślad...

Przez morza i kontynenty
przez rozpacz i tęsknotę
płyną nasze okręty
i lecą samoloty
i trzeba nam jeszcze łaski,
by za wrześniową rozłąkę
poryły ziemię szwabską
nasze stalowe czołgi,
by nasze buty żołnierskie
zdarły się o ich bruk,
by przeszły z ziemi - niemieckiej
- nie z włoskiej - na nasz próg,
żeby rachunkiem najprostszym
odpłacić, jak płaci wojsko,
za wszystko i za wszystkich,
bo wszyscy jesteśmy Polką.

I choć nam omentarze, szpitale
najczęściej,
nie fanfar śpiew -
- ściśniemy karabin w pięści
i dalej -
psiakrew!

Idziemy

przez długich już tyle lat
przez wszystkie już krańce ziemi
przez cały świat
- ale d o j d z i e m y!!!

- Przekazy i impresje -

Przyjaźń to Bóg. Też rodzi się niepozornie i też ją hańsliwie sami krzyżujemy. Umiera przez nas, lecz zmartwychwstaje sama z siebie i zasiewa wiarę i filozofię, która daje spokój i każe błogosławić nawet za krzywdę. I jeszcze jedno. trwa jak Bóg, choć nie jest z tego świata złych ludzi, a może właśnie dlatego. Przyjaźń to nowe przykazanie. Przyjaźń to siła i odkupienie. Przyjaźń to dobroć i uśmiech. Świąć się imię Twoje!

Nie ma na to przepisu kiedy może zaistnieć przyjaźń między mężczyzną a kobietą - jest tylko przepis na to kiedy nie może zaistnieć. Z miłością jest naodwrot. Jest recepta na to kiedy miłość nie wybuchnie, ale nigdy nie ma na to, kiedy mogłaby wybuchnąć.

Przyjaźń po miłości - jest ochłapem. Miłość po przyjaźni - przewycięży starzenie się, przewycięży dnie i zdarzenia życia i przetrwa je.

Rozum i dobre rady zawsze mamy dla innych, dla siebie samych - prawie nigdy. Innych rozumiemy i współczujemy im - samym sobie może i potrafimy współczuć, rozumieć siebie nigdy. Rozumiemy siebie gdy umieramy. Miłość rozumiemy dopiero gdy umarła. Dobre serce - gdy go brakło. Współczucie - gdy nim wzgardzimy. I to tak wszystko na raty. Pełnię zrozumienia siebie osiągnę w obliczu śmierci. Dlatego tak lubię niebezpieczeństwo życia. To są najlepsze rekolekcje. W obliczu śmierci nie można być złym.

Nie można żyć samym życiem, albo samymi marzeniami. Trzeba od czasu do czasu robić ich konfrontację. Inaczej rozczerwanie będzie większe niż życie i większe niż marzenia.

W zadawaniu bólu sobie jest boska przyjemność, o ile w ten sposób zdobywa się spokój dla osoby ukochanej.

Chcemy Boga i mamy Go w rzeczach i chwilach wielkich, ale nie mamy Go i nie lubimy mieć w rzeczach i chwilach małych. Oprócz filozofii na ból, miłość, walkę i tęsknotę, trzeba mieć i filozofię na drobne znaczenia życia codziennego, na rozmowę, pracę, rozrywkę, uśmiech i współżycie z ludźmi. Z powszednich dni składają się wielkie okresy, z małych chwil wielkie. Dziś małe apostołstwo małych chwil i rzeczy jest potrzebniejsze niż wielkie w pierwszych wiekach.

Przyjaźń między kobietą i mężczyzną jest najrzadszą rzeczą na świecie. Jest jak znaczek pocztowy Guyany z któregoś tam roku. Ale tego nie wolno kolekcjonować. Tak samo trzeba się wystrzegać falsyfikatów i głupich filatelistów. Jest dlatego rzadką, bo jest wyższą od miłości.

Przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest jak plotka: coś tylko w niej jest prawdą, bo reszta była, jest, czy będzie miłością.

Tyle jest odcieni miłości, wiele jest ludzi. Nie ma dwóch jednakowych.

Przyjaźń i miłość razem - to dopiero właściwe pojęcie miłości i dopiero właściwe pojęcie przyjaźni.

Mało jest ludzi, którzy potrafią być szczerzy z innymi, ale takich, którzy potrafią być szczerzy ze sobą, gdy przecież nikt nie widzi i nie słyszy - jest bardzo mało. A przecież to bodaj że pierwszy warunek zostania człowiekiem i najważniejszy do wzbudzenia wiary w siebie.

Radość wyrosła z bólu jest najtrwalsza i najsłoneczniejsza. Ból wyrosły z radości przemienia jak i przedtem radość - zostanie tylko niesmak nieznanie siebie.

Rozumienie kogoś nakłada na nas obowiązek pomagania mu w chwilach walki wewnętrznej i bólu. Nierozumienie - obowiązek odejścia wtedy.

Wzrosnąć można przez ból: tylko przez ból można siebie poznać i odkryć nieznane i częstoć nie przeżywane w sobie siły i przestrzenie. Lepszym stać się można też i przez ból - ale upaść i stać się złym - przeważnie przez ból. Upaść można jeszcze przez dobrobyt, ale taki człowiek nie wart jest nawet współczucia po chlebcy.

Brak godności w cierpieniu bolałby więcej niż samo cierpienie, gdyby człowiek nie był bólem i sobą zaślepiony i umiał popatrzeć na siebie i swe cierpienie dziś, z jedynie prawdziwej perspektywy czasu i dalszych zdarzeń życia.

Chciałbym do końca życia zostać dzieckiem. Chciałbym tak samo śmiać się, cieszyć i ufać wszystkim ludziom. Chciałbym mieć takie same oczy, które długo potrafią prosto patrzeć w czyjeś. Chciałbym dla każdego mieć to samo serce. Chciałbym być tak samo wciąż bezpośredni jak dziecko. I chciałbym tak wielu rzeczy nie rozumieć. Chciałbym, by postawienie mnie do kąta, klaps matki, czy bura za złą notę w szkole, zdjęły ze mnie przewinę, a we mnie znów wzbudziły niewinne dzieciństwo, przywróciły spokój sercu, a jasność spojrzeniu. Nie i nie! Ale w tym wiyim, a przynajmniej dziwnym świecie dobrze jest mieć swój osobny świat, nawet fikcji czy marzeń, ale swój własny, osobisty i z nikim niedyskutowany. Taki świat - jak ma dziecko. Chciałbym do końca życia zostać dzieckiem.

Brzegiem Wisły

Na wschód od Gopla, od Warty, tam, gdzie niedgdyś czerniały mazowieckie puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim, mocnym, żywicznym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemysłne, jedne pracą licznych rójwisk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem, jeszcze inne, na pół sielskie prawie, rozciekawiają się po okrajach w dwory i dworki, w półka, ogrody i pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś, tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płock nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromym wzgórzu sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer; tu bohatera Wola, tu Praga z przebitą pierśią, tu Wisła i tu Warszawa! Wisła i Warszawa to prawie że nie miana grodu albo rzeki, ale hasła rodowe, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach ducha.

Wszystkie te rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dumne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

A lud to kwieci się, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieleje siwymi lnami płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skiby.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy, tu sierpy jak miesiące nisko przy ziemi chodzą; tu znojne skrzywienie płużyc, soch, lemiesz; tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzoze gaje, w lekkuchnych szmerach chwieją majową zieleń młodych pędów; nad strugami stają rozplakane, srebrne od łez wierzy z niekończącą się nigdy skargą swej żałoby; na miedzach, na rozdrożach, na wygonach rysujących się wielkimi liniami skroś łęgów i łąnów, siedzą graniczne kopce okwitłe tarnią i głogiem, stają prastare krzyże wśród osik, jarzębin, topoli; rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość jakąś siną, w jakieś ogromne przezrocza coraz to bledszych błękitów, w jakąś różność zórz, niejących się i ugasających nad nimi, w jakąś perłowość tumanów zwiewających się rankiem i wieczorem aż tam, het, precz, gdzie na ostatnim zrębie widnokręgu czernieją bory szumiące mocno, niewypowiedzianą powieścią dawnych czasów. Gdzieś poryk nagły przeniknie powietrze, gdzieś się zanieśie huk młota, łoskot iskry; gdzieś uderzy nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągnięte, echowe; biją zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chrustem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słoneczników pozłocistych tarcz; a pod okienkiem pachnie grzęda ruty, szałwii, mięt i bożego drzewka. Za sadem na bielniku siwe płótna srebrnieją od słońca, a żuraw studzieny to tu, to tam zaskrzypi z wysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na kłonowym liściu chleba.

Nad chatą, nad wioską, nad polem, pełne bladej młodości i bicia skowronczych piórek niebo przezrystą kryształową kopułą obejmuje świat, wymyte

zda się w świeżych rosach i rozkwicie słońcem, zaś płomienie od letniego skwaru; toczą się po nim chmury burzliwe, nawalne, przecinane czarną błyskawicą jaskółczych, niespokojnych lotów. Zaczem rozświetlone bladym złotem jesiennego ranka sieje na ziemi niewypowiedzianym urokiem prześłodkiej pogody i ciszy, w której przemijają po śródniebnych drogach ciągi lecącego na wyraje ptactwa.

A gdy przeminą, ugasa w sobie, mąci się i blednie, przyodziewa szarą płachtę deszczowych obłoków, aż kostnieje razem z ziemią w lodowatych mgłach i mroźnych oparach.

Rankiem i wieczorem, w polu i chacie, przy pracy i przy zabawie wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego źródła, tak bije pieśń samorodna z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewysłowioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, weselem, czynia uroczyste momenty życia prastarą, urzędową nutą, nosi się nad jary, nad łąny, nad ugory; usypia działość, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje siły i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, aż się rozełka, zawodząca za tym wozem zaprzężonym w woły siwe, na którym chwieje się ostatnia domovina kmiecia, zbita z desek trumna, i idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota.

A w bok od wrót cmentarnych, przy których rzadkie sosny w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarłe kmiecie; a pod wiankiem lip, klonów, topoli, pełen trzepotu gołębi i wróblích świergotów trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski, mający w swej prostocie i powadze coś ze starych gontyn, gdy w nim zapachną wojski i święcone zioła.

Miedziami łąnów zbożnych, przydróżkami pokrytych pyłem gościńców, ciągnie tu w święte rano lud strojny, a rojny, skoro posłyszysz dzwon ze starej wieży. A wtedy skroś ptasich przełotów i gwarów, skroś szumu lip i brzęku pszc elnych rójw, biją w niebo strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści w przejęte skrucną piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy, modlitewny poszept.

Aż się zaniosą wichrem głosy i w strop kościelny uderzą, jak burza.

...Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A wtedy wszystko, co się mrówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych i bijących czołem o podnienie Boże.

A tam, skroś wysady szumiących topoli, bieleje dwór starowieczny, z modrzewia stawiony dwór, którego belki głośnie są od gniazd jaskółczych i od ich przeszłości.

Tu okna niskie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one dzikim winogrodem strojne, tu zadumane, srogie twarze dziadów, ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość promienna rwie się do życia, do czynu.

Czasem na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głogu zamajaczają się ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem podłań starej, złotej sławy. Czasem jakaś mogiła polna przemówi głośno, surcwo,

donośnie, wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zahuczy, jak w trąby bojowe, czasem dreszcz przeleci polem, jak poszept tajnego hasła

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły. Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha jej gromkiego huku. Gdy ona potężnym, nieokiełznanym pędem się zaniesie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona idzie a przechodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze.

W szumach jej słychać odwieczne rozmowy starego Beskidu i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie, spiżowe dźwięki Zygmuntowego koronnego dzwonu i szept harfiany czarnońskiej lipy, odmawiającej psalterz wieków i pokoleń. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San spieszy z pod Czerwiennych Grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Rugu nie-rozerwalną i wieczystą unią. Za nią idą sosny naszych borów i królewskie dęby; idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyście dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrym przesłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerńniałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności, uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roztwiera oboje ramion i, zanim rzuci się w odmet, potężnym od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię, na której nam wyznaczyła wielką historyczną drogę.

Ale tam, gdzie Wisła dwójgiem ramion obejmuje ziemię, i ziemia chyli się i przykłania ku niej, roztopiły się wzgórza, wyrównały brzegi, wstecz poszły lasy i gaje, ławice, ostrowy, a kraj uczynił się niski, przepadzisty, płynny.

Prerie to nasze, nasze malborskie Żuławy, którym równe jeden Niemen tylko między Tylżą a Ragustą czyni. Tymczasem na lewo i na prawo wód przybywa coraz.

Ziemia popruta krótkimi ciekami rzek przy-morskich niezdolna objąć całej ich mnogości, jest jako sieć, przez której oka przelewa się żywe srebro bijących zewsząd ruczajów. Gęsto oprawione w szmaragdową zielen traw stoją jasne szyby wodne, w których przegląda się kraj dziwny, pomglisty, głośny szmerem strumieni, pluskiem wiosła, ostrym krzykiem i trzepotem rybitw, mających tutaj wielkie swoje sejmy.

Inszy tutaj świat, insza piękność, inszy obyczaj żywota.

Tu naród szczudłuje, jak czapla, po wertepach wodnych, tu się funduje w groble, w tamy, w kanały, w stawidia, a podrywki i sieci więcej bodaj w chacie, niż kos albo sierpów.

Ale im dalej ku północy, tym bardziej ugasa zieleń trawa i zbóż, ustępując ławicom mokrego iłu, słonym morszczykom odpińczysk i piasków. Aż przy-mknie się ostatni okraj ziemi i rozewrze trzy cudnie rzeźbione czasze wielkich swych zatoczysk i uczyni się nad nim szum morza, i otworzy się przed nim gościniec w świat cały, a mocny dech szerokich wolnych przestrzeni owionie go rzeźkością i siłą. Stań tam, pod grzmiącym hukiem fal, które runąwszy w przepaść, dźwigają się nieśmiertelnym ruchem, stań na ostatecznych cyplach Pucka, Połangi, Windawy, a spojrzysz w nieobjęte okiem roz-tocze Bałtyku. Tu jest nasz kres, tu granica nasza, palcem przyrody wskazana. Tu wielkie wscho-dy i zachody topić swój szkarłat i złoto w ojczy-stych rzekach naszych Wiśle, Niemnie, Dźwinie; tu dobiegają blaski starej naszej chwały, tu wiatr donosi pieśń ludu, tu zatkwiona jest kotwica naszych wspomnień i naszych nadziei.

© Edward Liżocki

Idziemy nad polskie morze...

Idziem nad polskie morze
- Bóg naszej wiary strzegł...
My, ordynansy Boże,
Idziemy na Pomorze,
Na bursztynowy brzeg.
Graniczne kopce giną,
Sypią się w proch i w pył -
Śpiewałbym ci, dziewczyno,
Godzinę za godziną -
- Jak lud nam wieniec wili.
Jeno, żem raz, na wieki
Już serce moje dał...
Szumią nam wielkie rzeki
i Bałtyk grzmi daleki
Aż hen u szwedzkich skał!
Głucho nam dudnią działa
O kamień zmarzłych dróg...
Żołnierska pieśń, zuchwała,
Zerwała się, zerwała -
- Tak nam dopomóż Bógi!
Lśni srebrem zbrojny szpaler
I szumi morską toń...
Dał znak brygadier Haller -
- Zbiegnijcie z wrażeń galer
Za ostrą chwycić broń!

Ze wszystkich krańców świata
Nasz wierny żołnierz biegł,
I witał go, jak brata,
Odzyskanego brata,
Nasz bursztynowy brzeg.
Bogu Rodzico, Maryjo,
Zwól-że nam, odpuść nam!
Żołnierskie serca biją,
Bogiem sławiona Maryjo,
Idziem do gdańskich bram!
Świeci nam jasne zorze -
Hufiec nasz w błękit wbiegł -

My, ordynansy Boże...
Idziemy na Pomorze,
Na bursztynowy brzeg.

Piękny ten wiersz napisany był w roku 1920 w Toruniu, podczas obejmowania przez wojsko polskie Pomorza, i wygłoszony tamże, w przeddzień uroczystego dnia 10 lutego, kiedy to sztan-dary nasze pokłoniły się falom morskim, a Bałtyk zaślubiony z stał Rzeczpospolitej.

Baśm o bursztynowym pierścieniu

Pienisty Bałtyk rzecze tak
do Wisły, swej oblubienicy:
- Na wieczystego ślubu znak
daję ci pierścień z mej skarbicy.
Wiara ślubuję ci niezłomnie.
Z bursztynu pierścień, herb mych mórz,
na brzegu składam w ogniaach zórz:
niech ci wskazuje drogę do mnie.

A srebrna Wisła mu odpowie:
- Niosę ci wiana mego plon -
mojego ludu z chlewnych stron
daninę wierną i pogłowie.
Na falach twoich ponieś w świat
miłowań naszych tajemnicę:
niech obcy lub pożywa rad,
gdy głodny, moich pól pszenicę!

I było tak przez wieków złom,
jak się sprzysięgła z morzem rzeka:
Choć wichry wyl, choć huczał grom,
daninę niosła mu zdaleka.
Błogosławiła cudza mowa
Bałtyku z Wisłą święty ślub,
gdy nędzarz sół wielickich żup
na szenny sypał chleb z Proszowa.

Ale się chciwe sprzegły moce,
by ten miłości posiadać dar -
i położyły moźny czar
u styku fal, na mórz zatoce.
Twardym granitem ciężkich tam
na piersi Wisły się pokładły
i złoty znak od morza bram,
z bursztynu pierścień jej ukradły.

Jako zimowa głucha noc
potłumia gwałtem zórz świtanie,
tak niewoliła wroga moc
Bałtyku z Wisłą miłowanie.
Lecz gdy nadzieją wzbiera fala,
gdy co dnia burzy się od łez,
rozłaki musi nadejść kres,
bo murt okowy porozwala!...

Zaświta jasny dzień swobody! -
I wolny strumień Wisły fal
z falami morza pomknie w dal,
aby sławiły go narody!...
I rzeknie Bałtyk, morza pan,
do Wisły, swojej wiernej rzeki:
- Otoć z bursztynu pierścień dan,
na wiary znak, na wieczne wieki!...

Paweł Skiba

Trochę o Kaszubach

Według uczonych niemieckich Kaszubi mają być z jednej strony zesławianyszczonymi Niemcami, z drugiej zaś odrębnym, osobnym narodem. Już przed wojną w spisach ludności wpisywano ich w osobne rubryki narodowościowe, podobnie jak i pruskich Mazurów; z jednym zastrzeżeniem: nie uznawano jednak ani w szkole, ani w życiu publicznym i w urzędzie gwary kaszubskiej. Językiem Kaszubów miał zostać niemiecki, piękna zaś mowa Gejnowy i Derdowskiego miała zamarść, jako zabytek barbarzyńskiego okresu.

Mimo tych haseł Kaszubi uważali się za Polaków i polskich posłów wysyłali do Berlina.

Kaszubów mieszkają obecnie na Pomorzu, w czworoboku zamkniętym granicami liną Chojnice-Stargard i morzem - około 150 tysięcy, podzielonych na kilka grup, różniących się od siebie odzieniami gwarowymi. Nazwa ich według Brücknera pochodzi od ubioru, powszechnie przez nich używanego, już w XII w. zwanego - szuby/ z przedrostkiem Ka-/. Są oni rzeczywiście szczątkiem Pomorza, szczepu lechickiego, stojącego do pierwotnych Polan w tym samym stosunku, jak np. Mazu-

rzy z nad środkowej Wisły /Mazowszanie/. Ich dialekt jest gwara polską, nie różniącą się więcej od języka literackiego, niż gwara podhalańska. Porównując gwary, nie należy brać słownika za podstawę; słownik zależy od warunków życia. Pewnie, że nie zrozumiałaby Kaszub góralskich grani, piargów, gazdów, watry, kierpców, perci, cetyny - jak znowu góral cudowałby się co niemiara, słysząc o kaszubskiej białce, gambie, karwincach, takie wyrazy jak ows, palc, budink i t.p.

Nie odcinają się jednak gwary kaszubskie wyraźnie od polskich; brak im zupełnie granicy z dialektem wielkopolskim/krajniackim/; mają one pewne cechy odrębne inne znów ogólnopolskie. Niektóre z tych cech, wynikające z ogólnopolskiej tendencji językowej, wstrzymane w Centralnej Polsce, tu doszły do swych dalekich konsekwencji.

Język, tradycja, historia i poczucie narodowe Kaszubów łączy ich z Polską. "Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polści..." śpiewają za Derdowskim Kaszuby.

FRAGMENT PIOSENKI KASZUBSKIEJ

W gwarze kaszubskiej

Nad strumieniem morza w drewnianej checzy,
Gdzie się tam morze urliwa,
tam młody chłopiec siedzi przy nełce
i tak se do niej odzwoł!

W języku literackim.

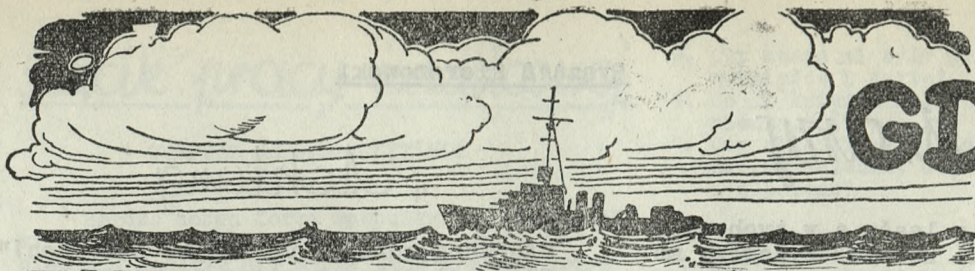
Nad brzegiem morza w drewnianej chacie
gdzie się tam morze urywa,
tam młody chłopiec siedzi przy matce
i tak się do niej odzywa.

HYMN KASZUBÓW

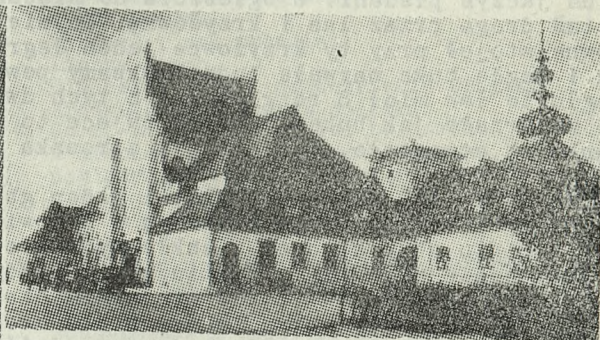
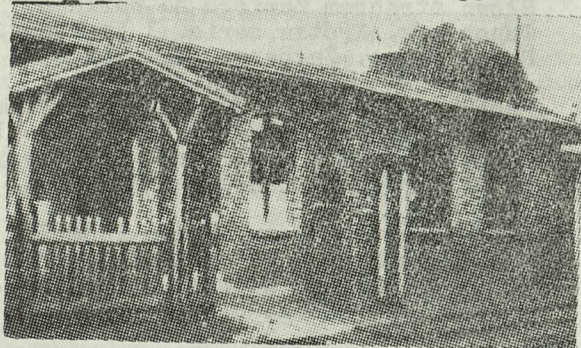
/na melodię "Jeszcze Polska..."/

Tam gdzie Wisła od Krakowa
W Polsce morze płynie
Polsko wiara, polsko mowa
Nigdzie nie zadzinie

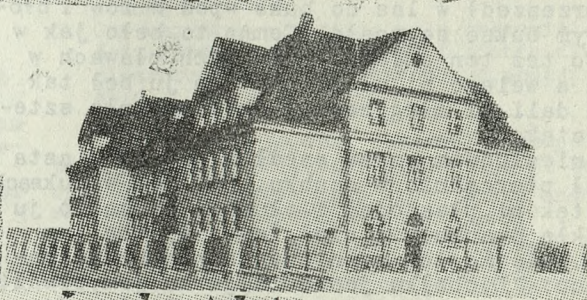
Nigdzie do zguby
Nie przyjdą Kaszubi!
Marsz! Marsz! za wroldiem!
Me trzymamę z Bodziem!



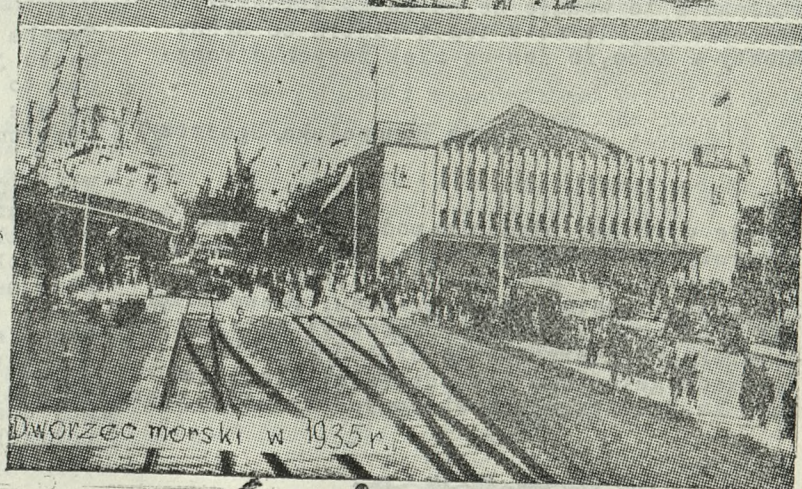
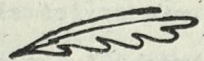
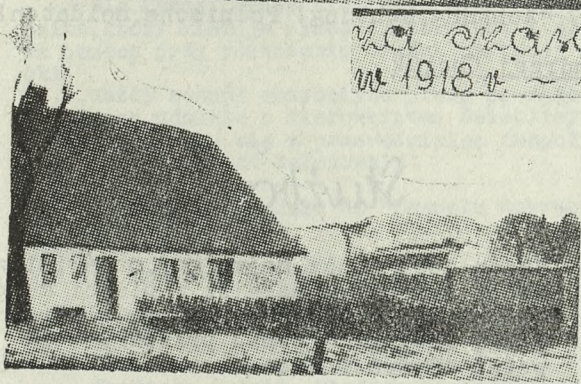
GDYNIA



Dworzec, Szkoła i Poczta



Wci charakter niemieckich
w 1918 r. - i w Wolnej Polsce



Dworzec morski w 1935 r.

W buksach straszy

Na Kaszubach je wjele lasów, a w tych wjele krzyżowych dróg, nowięcy do każdy krzyżowczy mo nasz lud jacyś pędani. Z Ugłeszczu do Kłaczna idzie też droga przez las i krzyżówkę. Do nie tak downa stojeł przy ty krzyżowce jeden łegromny buk i tegie buka nazwałe ludze buksamy pewnie dło tegło, że łen mioł 8 rozgrajów i z tych dwje, a dwje wezdrzałe jak buksy. Roz na śwjece to w tych buksach straszło. Dzeje tegło stroszka są taczcy:

W Kłacznie żeł jeden szkielny i jeden gbur. Ty dwaj są prawlewale i mjale termyn w Betowie. Na tym terminiu gbur straceł, a szkielny wegroł. Łebaj łeny sobie szle płe terminiu wepić każdy do inszy karczme w Betowie. Płe niejaczym czasu idze szkielny do dom, a chłec ta Kłaczneska droga je ju szeroka, nie beła mu jednak jeszcze dość szeroka, to też łen szedł coroz to to płe płu. Cze łen przeszedł w las do buks wpod w rów i bło to w jaczym buksy se rosły. Cemno to beło jak w miechu. To też ten chłodzeł płe tych piawach w tym błoce a welesc ni młeg. Cze łen ju beł tak ustany, że dali ni młeg, zaczął chłedzec płe szterokach i stękać.

Płe niedłudzim czasu szedł i gbur z miasta i łen mioł pierządnie w czubku. Cze łen w buksach czuł to stękanie, pęstojeł i słuchoł. A że to ju beło krotkie dwanosty mesło, że to djobie tam straszło. Ale że łen se niczego nie bjeje zaczął wleć: "Djobełku jeste tu, ju tu jem, pędz do mnie". Ale djobeł nie przeszedł, ale łen do niegłe zło. Cze łen nę cemku do niegłe przeszedł widzoł, że to beł człowiek, a do tegie nogierszy wróg. Ale pijoce jak pijoce, cze se widzą, to se liżą, tak i łeni zaczęli se całować i kłechać, to se jaż w tym lese łedlegało. Płetym złapjele se za ręce i zaczęli se wprowadzele i tak plematu szle do Kłaczna. Cze przeszle do om beł ju bjoły dzen. We vse jednak beło ju pełno płewjeśce, że buksach straszło ty noce. Szkielny i gbur się z tegie weamjele, ale ty ludze płewjodale to za prowadę, że Piotr szedł łe dwanosty z Grantu i wyraźnie czuł jak tam cos szepekiewało. I nicht ju ta droga wjęcy nie chcoł chłedzec. Płe dłudzim jednak czasu a to wedało se, co to za stroszek beł i wszesce smjele se z tegie Piotra co szedł łe dwanosty w noce, że łen se złąk żewych stroszków.

Wanda Ryngwelska/Ugoszcz/

Objaśnienie wyrazów: pędanie-podanie; buksy-spodnie; rozgraje-rozgałęzienie; śwjece-świecie; szkielny-nauczyciel; gbur-gospodarz; prawlewali-procesowali; termin-data procesu; piawe-trzęsawiska; bło-bagna; ustany-zmęczony; szterokach-czworakach; pierządnie w czubku - dobrze podpity; łedlegało-echo się odzywało; Grant-zabudowania za Ugoszczem; szepekiewało-straszło.

"Achtung"

"Achtung, achtung, polnische soldaten!"
Słowo strachem zamiera na wargach,
Tupot nóg. Krótka seria. I "achtung..."
Rozpaczliwe. Żalonne. Jak skarga.

"Achtung, achtung! Już idą. Są blisko.
Jakaś siła przez zapory ich niesie?!"
"Haende hoch!". Zrozumiałe jest wszystko.
To polacy biorą odwet za Wrzesień.

Przerażony, skulony "Naród Panów"
Już spokorniał. Już błaga i jęczy,
Jakby Polski nie widział w obozach,
Jakby nigdy nikogo nie dręczył.

Barbarzyńcy spuszczeni ze smyczy --
Barbarzyńcy pełni chamsstwa i buty--
Teraz dla was barak i pryzół!
Teraz dla was koleczaste druty!

Achtung! Słyszysz? Rzucaj karabiny!
Błysk bagnietów to przykry widok -
Wylaż z bunkra! Ręce na głowy!
Achtung! Słyszysz? Polacy idą!

Achtung Niemcy! Rachunek jest krwawy,
Zaczynamy dziś krwawą zapłatę.
Aż usłyszysz ruiny Warszawy -
"Achtung, achtung! Polnische soldaten!"

Andrzej Chciuk

Służba Polsce

Jeden jest nakaz najwyższy, najświętszy,
który w nas spłynął już z piersi matczynej,
by nad dni zwykłe i ponad największe
ponad zasługi i ponad przewiny
wciąż służyć Polsce..

Trzeba nam krzepnąć ciągle czując w sobie
hasło jedyne, zawsze najprawdziwsze
czy to w radości, w klęsce, czy w żałobie
zawsze donośne i nigdy nie cichsze
rozpłomienione jak żagiew na wicherze

Nieść je nam wszystkim, nowych dni żołnierzom
i wciąż w tym hasle kierunek prostować
wszystkim co tęsknią, co cierpią, a wierzą
wszystkim co walczą o to, co miłować
każe nam serce, a nie czyjeś słowa

Nic nie żądając trzeba tylko służyć
nie patrząc na nic, na innych, lecz w serce:
nie ma dla Polski poświęceń zbyt dużych
gdy czasy idą, w których coraz więcej
potrzebne będą każde polskie ręce.

Kacik pracy świetlicowej

ZESPOŁY DÓBREGO CZYTANIA

Bardzo dobrą formą spopularyzowania książki są tak zwane: "zespoły dobrego czytania". Do niedawna jeszcze nie znano tego systemu propagandy książki, dlatego też pragnąc zachęcić świetliczan do czytania organizowano konkursy na najlepiej przeczytaną książkę. Dziś już metoda ta jest wypierana z życia przez "zespoły dobrego czytania".

Inicjatywa zespołów dobrego czytania powstała na Wołyniu, gdzie też przeprowadzono pierwsze próby. Wypadły one dodatnio i forma zespołowa rozpowszechniła się szybko nie tylko w całej Polsce, lecz już nawet zagranicą uznano nasze przedownictwo w tej dziedzinie życia świetlicowego.

Praca w zespołach dobrego czytania ma na celu zachęcić do próby przeczytania książki z pełnym zrozumieniem jej treści i starannym rozważaniem poruszanych w niej myśli, zagadnień i spraw, aby utrwalić korzyści, jakie może dać książka.

Organizacja zespołów:

Na zebraniu świetlicowym kierownik podaje spis wybranych przez siebie książek, ewentualnie przynosi te książki, zachęca świetliczan do przeczytania ich i wzięcia udziału w zespole dobrego czytania, objaśniając na czym ono polega.

Udział w zespołach jest dobrowolny. Czytelnicy łączą się w małe grupy złożone z 5 do 10 osób i wybierają do czytania jedną z podanych książek.

Dla każdej grupy kierownik wybiera przewodnika, który kieruje pracą czytelników i służy im pomocą przy rozważaniu treści czytanej książki.

Każdy zespół rozpoczyna pracę po zgłoszeniu swego udziału u kierownictwa świetlicy i po porozumieniu się z przewodnikiem zespołu.

Podajemy wzór zgłoszenia:

Zgłoszenie udziału do "Zespołu dobrego czytania książki".
Nazwa świetlicy
Wybrana książka: autor
tytuł
Termin opracowania notatek
Data zgłoszenia
Lista uczestników uwzględniająca:
Nazwisko i imię. Miejsce zamieszkania. Zawód. Wykształcenie. Uwagi.

Praca zespołów:

Uczestnicy każdego zespołu czytają wybraną książkę, zwołują się na wspólne zebrania dla omówienia i rozważenia treści książki, a następnie opracowują samodzielnie notatki z książki według podanego im planu.

Podajemy dwa wzory planu:

1. Dane o książce:
Nazwisko i imię autora
Tytuł książki
Miejsce i rok wydania
Liczba stron.
2. Ile czasu zajęło przeczytanie książki.
3. Jakie zagadnienia i sprawy zostały poruszone w książce.
4. Co mi się w książce najbardziej podobało i dlaczego? /jakie myśli, poglądy, opisy, urządzenia, wynalazki i t.p./

5. Czy znane mi były przedtem sprawy poruszane w książce i jakie?
6. Co mi książka dała? /wiadomości nowe, wyjaśnienia, jakie/.
7. Czy należałoby zastosować w życiu pewne myśli, urządzenia, o jakich była mowa w książce i dlaczego?

Wzór 2-gi.

1. Dane o książce:
Nazwisko i imię autora
Tytuł książki
Miejsce i rok wydania
Liczba stron.
2. Ile czasu zajęło przeczytanie książki?
3. Krótkie streszczenie książki.
4. Co mi się w tej książce najbardziej podobało i dlaczego? /jakie zdanie, urywki, jakie myśli, poglądy, zdarzenia, charakter. Wynotować wybrane zdania, urywki, które się najbardziej podobały. Przy dłuższych ustępach wskazać stronę/.
5. Czy książka obecnie czytana przypomina czymś książkę dawniej czytanej. Jeśli tak, to jakie książki i w czym /treścią, sposobem pisania, podobieństwem osób, epoki i t.p./.
6. Czy znam w życiu osoby, lub zagadnienia podobne do opisanych w książce? Co jest w nich podobne?
7. Czy wszystko w książce było zrozumiałe w treści? /Niezrozumiałe słowa i zdania, dłuższe niezrozumiałe urywki zaznaczyć, podając stronę/.

Opracowane notatki uczestnicy zespołu oddają przewodnikowi, który przekazuje je komisji sędziowskiej, składającej się z kilku osób zaproszonych przez kierownictwo świetlicy.

Czas trwania pracy zespołu, terminy zebrania i wykonanie poszczególnych prac, ustala przewodnik w porozumieniu z kierownictwem świetlicy.

Prace komisji sędziowskiej:

Zadaniem komisji sędziowskiej jest zapoznanie się z wynikami pracy każdego zespołu i przeprowadzenie oceny tych wyników na podstawie opracowanych notatek z książki i wspólnej z czytelnikami rozmowy, oraz dyskusji o przeczytanej książce.

Za dobre wyniki pracy komisja sędziowska może przyznać uczestnikom zespołu nagrodę w postaci książek.

Zakończenie pracy w zespołach:

Na zakończenie pracy w zespołach organizujemy uroczyste zebranie wszystkich uczestników zespołów z udziałem komisji sędziowskiej i zaproszonych gości. Program zebrania przygotowany przez uczestników zespołów w porozumieniu z przewodnikami i kierownictwem świetlicy obejmuje:

1. Sprawozdanie z pracy zespołów dobrego czytania książki - w opracowaniu jednego z uczestników.
2. Dyskusję na temat przeczytanej książki.
3. Sprawozdanie komisji sędziowskiej i rozdanie nagród.
4. Wieczornicę poświęconą propagandzie czytelnictwa.

W ten sposób przeprowadzone, racjonalne propagowanie w świetlicy czytelnictwa da napewno dobre rezultaty. Bo i członkowie zespołów odnoszą znaczne korzyści, czytając z uwagą i zrozumieniem odpowiednie książki, a goście świetlicy chętnie ojdą w ich ślady.

Inscenizacje

B. Leśmian

"SZEWCZYK"

Opracowanie inscenizacyjne

W mgłach dalecejsze sierp księżycy,
zatkwiiony ostrzem w czub komina,
latarnia się na palcach wspina
w mrok, gdzie już kończy się ulica.
Obłądny szewczyk-kuternoga,
szyje, wpatrzony w zmór odmetry,
buty na miarę stopy Boga,
co mu na imię - Nieobjęty!

Błogosławiony trud,
z którego twórczej mocy
powstaje taki but
wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,
naści z mej dłoni dar obfity,
abyś nie chadzał w niebie bosy
i stóp nie ranił o błękity!
Niech duchy, paląc gwiazd pochodnie,
powiedzą kiedyś z chmur powodzi,
że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,
Bóg przyobuty bywa godnie!

Błogosławiony trud,
z którego twórczej mocy
powstaje taki but
wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi Boże, kęs istnienia,
co mi na całą starczy drogę, -
przebac, że w pośród nędzy cienia
nic Ci, prócz butów dać nie mogę.
W szyciu nic nie ma, oprócz szycia,
więc szyjmy, póki starczy siły!
W życiu nic nie ma oprócz życia,
więc żyjmy aż po kres mogliły!

Błogosławiony trud,
z którego twórczej mocy
powstaje taki but
wśród takiej srebrnej nocy!

○ Piękny wiersz Leśmiana jest w pewnym sensie hymnem pracy, pochwałą tego, co Mickiewicz mówił w "Odzie do młodości": - "Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił". To nic, że w tekście jest mowa o szewczyku, który jest "obłądny", że szyje "buty na miarę stopy Boga". Jest w tym przenośnia, pochwalająca wszelki trud człowieka, który sięga w niemożliwość.

Inscenizując ten wiersz, należy zdać sobie z tego sprawę, że najważniejszy będzie tu moment uczuciowego natężenia, co musimy w zespołowym wykonaniu wydobyc, najpierw przez wewnętrzne przeżycie, a potem poprzez wyraz gestu, rytmu i mimiki. Należy stanowczo odrzucić w tym wierszu wszelki realizm, który mógłby obniżyć wartość utworu. I tak - szewczyk będzie wyrażał szcicie gestem bez żadnych rekwizytów, but będzie czymś niematerialnym, niewidocznym, choć widzieć but musimy siłą naszej wyobraźni.

Zaczynamy wiersz w ten sposób: pośrodku miejsca, na którym będzie się spełniać zdarzenie, siedzi szewczyk, wyrażający gestami szcicie buta. Jest piękna "srebrna noc". Z dwu stron, zapatrzone w noc, idą ku sobie

pary, które w pewnym momencie zakreślają linię półkolistą, w późniejszym głębi, złączwszy się, utworzyć półkole. W czasie, gdy pary się zjawiają - nucą wszyscy zaśpiew słów do następującego refrenu:

"Błogosławiony trud, z którego twórczej mocy powstaje taki but wśród takiej srebrnej nocy!"

Po skończeniu dziewczyna z lewego półkola, zatrzymując się, mówi: "W mgłach dalecejsze sierp księżycy". Wszystkie dziewczęta, podnosząc w górę rękę zewnętrzną, powtarzają: "sierp księżycy". Z prawej strony półkola odzywa się głos męski: "zatkwiiony ostrzem w czub komina", mężczyźni, podnosząc w górę rękę zewnętrzną, powtarzają: "w czub komina". Teraz opuszczają wszystkie ręce do połowy, wskazując niewidoczną latarnię, mówią dwa następne wiersze. Idą dalej z nuceniem zaśpiewu, aż złączyli się w dużym półkolu. Pośrodku jest szewczyk. Jedna z dziewcząt, zauważwszy go, mówi: "Obłądny szewczyk-kuternoga", wszyscy stwierdzają: "szyje". Głos męski dodaje: "wpatrzony w zmór odmetry". Szewczyk oznajmia mocno i uroczyście: "buty na miarę stopy Boga, co mu na imię - Nieobjęty".

Zespół wyciąga ręce, jakby błogosławił szewczyka, mówi na zaśpiewie refren, tworząc w tym czasie zwarte koło. Przy słowach "wśród takiej srebrnej nocy" - obracają się wszyscy dookoła - po czym dziewczęta siadają, a chłopcy stoją. Szewczyk wstaje i, jak modlitwę, wypowiada sześć następnych wierszy. Dziewczęta podnoszą się i cały zespół mówi: "Że tam i t.d." - po czym następuje zaśpiew refrenu z miejsca, z rękoma wyciągniętymi w stronę szewczyka. Przy słowach "wśród takiej srebrnej nocy" - dziewczęta obracają się dookoła, idą bliżej szewczyka - siadają.

○ Szewczyk wypowiada następnych pięć wierszy. Dziewczęta mówią "więc szyjmy, póki starczy sił". Z tymi słowami podnoszą się, idą do chłopców ze słowami: "w życiu nic nie ma oprócz życia", - chłopcy radośnie stwierdzają: "więc żyjmy". Z zaśpiewem refrenu odchodzą pary półkolem w dwie przeciwne strony. Przy słowach "wśród takiej srebrnej nocy" odwracają się wszyscy w stronę szewczyka, i z wyciągniętymi rękoma, wskazując noc i świat - odchodzą tam, skąd przyszli. Szewczyk został sam. Podchwycił nucenie i szyje, szyje!

Kostium i tło - obojętne. Ilość osób - najmniej 13
J. Zawieński ○

Maksymierz Wierzyński

PRZYWIDZENIE

Tu są nazwy: Pirapora,
Sabará i Ouro Preto,
Mógłbyś na nich do wieczora
Jak na skrzypcach grać, poeto.

Z samej mapy, z fotografii
Kraj ten, garść sennego szczęścia,
Czarodziejsko snuć potrafi
Urzeczenia i zaklęcia.

Spójrz ten barok na kościele,
Fryzy w odrzwiach, kropielnica,
Jak się miękko łukiem ścięte,
Więże w koła i zachwyca.

Wieżom przypatrz się, kopule,
Frontonowi, jaki zdobny...
Jużes zgadł, wspominasz czule,
Wiesz do czego jest podobny?

Pytasz, gdzie ta ziemia, czyja? -
Natarczywie i usilnie...
Spójrz na napis: to Bahia,
A tyś myślał - wiem - o Wilnie.

RAZEM

... ciekawostki ...

STAROPOLSKIE ŁYŻKI

Staropolska łyżka jeździła wszędzie ze swoim właścicielem i to gdzie schowana: za cholewą. Towarzystwo jej w tych podróży był nóż. Widelca nie wozili ze sobą szlachcic z onych czasów. Uważał go za zbytek, bez którego można żyć.

Smieszna była taka łyżka. Płytsza od naszej i szersza, a wewnątrz pożąłaczana. I trzonek ma też inny: prosty i taki, jak drzątek. A w środku jest coś wyrzeźbionego. Aha, herb.

Co osobliwego miewała na sobie łyżka staropolska, to napisy. Ryte w srebrze, przeżyły ludzi, których miały rozrywać, karcieć, upominać, uczyć i uszlachetniać. Bo tak rozmaita była treść tych napisów, zawsze wierszowanych, choć nie zawsze szczęśliwie. Korzystając z tego bogactwa żartów i nagan, przestroóg i docinek, dobrych rad i wzniosłych nauk, w większych zwłazszcza domach, kładziono zazwyczaj przed gościem łyżkę z napisem, jakby dla niego ułożonym. W ten sposób można było wyrazić hołd osobie zasłużonej, niemniej jednak i dokuczyć komuś mniej doskonałemu.

Z dziwnym uczuciem odczytuje się dziś te sądowe napisy. Wszakże trzy, albo i cztery wieki minęły, a one mówią swoje, jakby się nie nie zmieniło na świecie. Weźmy na chybił trafił pierwszą łyżkę i czytamy.

"Miła wieść, gdy wołają jeść". To jakby zaproszenie do stołu. A co mówi druga.

"O łyżko nie pros, kto ją z sobą nosi". To wygląda na wymówkę, robioną gościowi, który przyjechał z pustą cholewą. Ale trudno, od czego gościnność staropolska? To też trzeci napis brzmi wiele życiennie.

"Bez łyżki zła sprawa, chociaż dobra potrawa". Jest w tym ton żartobliwy, no i przechwałka. łyżka zna swoją wartość.

Że ją zna dobrze i że się trochę boi o siebie, świadczą następne napisy, niebardzo grzeczne i będące wprost pogroźkami. "Na to mię tu dano, aby mnie nie brano". Tak mówi jedna. Surowiej odezwie się jej sąsiadka: "Kto mnie stąd wyniesie, pewnie go dąb wznieście". A zupełnie już jasno przemawia trzecia: "Dla srebra kawalcia obwiesz zuchwalca".

Trudno się nie domyślić, do kogo zwrócono te słowa. Ale są i łyżki łagodniejsze, które poprzestają na uczeniu dobrych manier przy stole. "Nie przebiegaj, gdy coś dadzą, kiedy za stół cię posadzą". Stała się pożąta na łyżce, która to rzekła, niemniej myśl na niej wyrażona, nie przestała być złotą.

A czasem bywają łyżki pobieżliwe, które jakby się uśmiechały do kogoś i żałowały, że nie mają głębszego czepka. Jak ta na przykład, która żartuje wyrażając swoim napisem: "Żak szkolny jak wilk głodny". Czyż nie tak wygląda życliwość dla biesiadnika, i czy nie obraca się mimowoli łyżki na drugą stronę, żeby na niej znaleźć dodatkowy napis: "Pchaj, ile możesz".

Ale nie na wszystkich są łyżki tak łaskawe. "Jedź mną a skromnie i nie myśl o mnie". Tak, rozumnie zresztą, radzi jedna, mając widać za często do czynienia z żartokiem. A inna, opatrzona wizerunkiem św. Jakuba, prawi, powołując się na tego swego patrona: "Jakub mówi mile, życzę mi na chwilę". Na przętłumaczone brzmiałoby to: nie za długo baw przy stole, bo cię czekają inne ważniejsze rzeczy.

łyżki wiedzą o ludziach więcej, niż ludzie o nich. "U pijanicy nie masz tajemnicy" - sztydzi jedna. A inna, niebardzo budowana rozmową, prowadzoną przy stole dodaje od siebie: "Poznać po mowie, komu płocho w głowie". Tak ostrzych słów nauczyła się chyba od swego najbliższego sąsiada... noża.

Potrafiają wszakże łyżki być i serdeczne. Przemawiają, wtedy tak pięknie, że przyklasnąć im można po wiekach. "Napój pragnącego, nakarm żaknącego" - uczy

jedną z najstarszych. A inna, równie stara i pogięta, mówi niezdanym wierszem: "U stołu twego nakarm ubo-giego". Darować jej trzeba rym częstochowski, a ucie-szyć się tym, co czynił po chrześcijańsku nakazywała naszym pradziadom.

Czasem poza stół i ponad stół sięga mądrość łyżek i wtedy ich napisy stają się tak szczytne, że powinno się ich uczyć na pamięć, jak wierszy wielkich poetów. "Miewaj na pieczy pocziwie rzeczy" - nakazuje pierwsza z nich; "Przy każdej sprawie wspomnij o sławie" - dorzuca do tej pięknej namowy druga. "We-sele wiecie: serce bezpieczne" - nie mówi już, ale zdaje się śpiewać trzecia.

Treść tych nakazów świadczy, jak szlachetnymi ludźmi byli ci, którzy je kazali ryc przed setkami lat. Patrząc na te łyżki-staruszki i na ich następczynie z początków XIX wieku, na których zamiast dawnych herbów widnieją twarze Kościuski i ks. Józefa, uczymy się szanować naszych przodków.

W ten sposób nowego życia nabierają napisy na starych łyżkach. Przystają być czymś, co leży bezużytecznie w muzeum. Mówią do nas. Nam każą po staropolsku "miewać na pieczy pocziwie rzeczy" i "przy każdej sprawie wspominać o sławie".

BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE W POLSCE W WIEKU XVIII.

Rulhière w swej historii "anarchii polskiej" pisze: "To jest prawie niepodobne do pojęcia, że wśród takiej anarchii Polska wydawała się szczęśliwą i spokojną. Bezpieczeństwo panowało a miastach; podróżny bez obawy mógł przebywać tak lasy najciemniejsze, jak drogi najliczniej uczęszczane; nie słysząc nigdzie rozmowy o jakiejś zbrodni. Nic lepiej nie popierał mniemania niektórych filozofów, że człowiek z natury jest dobry. W roku 1779 podróżował Coxe, profesor uniwersytetu w Cambridge, w towarzystwie lorda Herberta. Żeby dobrze poznać zwiedzane kraje, Anglicy ci jechali pocztą, nocowali po karczmach, przyrzadzali sobie jednak przy chłopskich ogniskach. Coxe bynajmniej nie zachwycał się Polską i dostrzegł wiele złego. Kreśląc nędzę chłopów ostrymi rysami, zapisał jednak spostrzeżenie, że w ciągu całej podróży przez Polskę nic im nie zginęło, chociaż powóz zostawał w nocy na dworze bez dozoru; tymczasem w Rosji po każdym noclegu opatrzeni byli jakąś kradzieżą, chociaż w powozie sypiali śpiący".

Niemieć Biester, podróżując w roku 1791, zapewnia, że "w Polsce, czy we dnie, czy w nocy, jechać można bardzo bezpiecznie; kilkaset tysięcy dukatów wiezie powozem jeden człowiek, a i zagranicą powierzają, nawet znaczne sumy często nieznanym woźnikom z dalekich polskich prowincyj, a nikt jeszcze nie słyszał, że je skradziono".

Nareszcie, bardzo niechętny Polakom Niemiec Schultz, podróżując dwukrotnie podczas sejmów czteroletniego i w roku 1793, radzi obierać drogę nie przez Prusy, ale przez Polskę, ponieważ pocztą są szybsze i podróż mniej nudna; przyczem zbija szerszo przez cudzoziemców pogłoski o niebezpieczeństwie dróg. Powołując się na własne doświadczenie, twierdzi, że on sam i wielu jego przyjaciół nie dostrzegł nigdy nic podejrzanego w najciemniejszych nawet lasach ani we dnie, ani w nocy.

"Nie dosyć na tym. Co kwartał przewożona była z każdej prowincji skarbowej /a więc np. z Krzemienia, z Krakowa, z Poznania i t.d./ kasa prowincjonalna do Warszawy, wynosząca czasami około miliona złotych, wynajętą budę żydowską, pod eskortą jednego, a rzadko dwóch strażników konnych." - "Przejrzawszy wszystkie codzienne czynności komisji skarbowej, wiemy dokładnie, że ani jeden transport w ciągu lat trzydziestu nie zginął, że raz tylko była złupiona kasa egzekutorowi w Łatyczowie nad granicą turecką przez hajdamaków".

"Nie nas nie złamie, nie złamie
aby ino ramię w ramię..."

WESOŁA LWOVSKA FALA WE FRANCJI

Po prawie pięciu latach ujrzałem ich znowu w Paryżu w dniach 15 i 16 stycznia b.r. Ujrzałem i usłyszałem naprawdę, bo dorywcze transmisje Radia Polskiego z Londynu "nie liczą się". Do starego zespołu znanego ze Lwowa doszli w Rumunii Mira Grelichowska i Wincenty Rapacki, potem w Szkocji Henryk Haussman i ostatnio Władysław Galiński, emigrant z Belgii, przebywający przed wojną w Polsce, wrzeszczowiec i uciekinier z niewoli, który parę miesięcy temu "doszłusował" do W. Brytanii.

Przyjechali z Holandii, gdzie objeżdżali nasze oddziały Dywizji Pancerniej i od nich przynieśli braterskie pozdrowienia dla formujących się oddziałów. Objechali już Północ i ruszają na Południe Francji. Dali nam dwa naprawdę niezapomniane wieczory, o których długo będziemy mówić i myśleć, z których będziemy czerpać naszą wiarę i humor i uśmiech - to wszystko, co zawarte jest w słowie Lwów. Przywieźli nam wizję Lwowa i Wilna, które były i będą nasze, bo

"...wierności dochowa
dla Wilna i Lwowa
skrzydłata, lotnicza piosenka..."

- jak śpiewał zespół w przepięknym Lotniczym tangu.

Szczepko i Tonko znaleźli jedyną receptę na wszystkie zgromadzone i nowonadchodzące chmury - w prostych słowach batiańskiej piosenki:

"nie nas nie złamie, nie złamie
aby ino ramię w ramię..."

Występy całej lwowskiej braci były dla wszystkich wielkim przeżyciem. Trzeba było być na sali i widzieć jak przepełniona za każdym razem po brzegi sala reagowała żywo i bezpośrednio na każde przypomnienie Lwowa czy Wilna. Dla każdego widza Wesoła Fala była odprężeniem psychicznym i nowym naładowaniem akumulatorów na dalsze, być może, długie jeszcze dni. Ta reakcja widowni żołnierskiej wyszedłem pokrzepiony jak nigdy - bo prawdę, poraz nie wiem który stwierdzoną oklaskami dżoni żołnierskich są słowa

"niech pisze kto chce
tak jak umie, jak wie -
my wrócimy do Lwowa i Wilna!"

Całość była doskonała i nie było numerów słabych. Były może niektóre słabsze, ale tak już musi być: nie wszystko jest doskonałe. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że Teatr Wojska Polskiego Wesoła Lwowska Fala posiada świetny pod względem głosu i dykcji zespół, świetne, prześwieczone teksty i wspaniałe kostiumy. Wyreżyserowane wszystko jest bez zarzutu.

Osobiście miałbym pewne zastrzeżenia co do układu programu. Brak jest mocnych półfinałów, a przede wszystkim finału pierwszego występu. Wesołe ludowe, aczkolwiek nielogiczne w pomysłach /bierze udział w nim krakowiak, góral, mazur, kujawiak - równocześnie, brak matki panny młodej, a można było przebrać kogoś nawet w męczyznę/ jest efektowne, jednak nie daje wymaganego efektu jako finał, nie uderza, nie rozpala, nie rozbudza poprzednio odebranych wrażeń.

Hymny narodowe polski, francuski i angielski na zakończenie były pozycją raczej nieudaną. Osobiście nie lubię nadużywania hymnów państwowych do zwykłych sobie okazji. Równie dobrze, a może i z większym powodzeniem, wypadłaby na tym miejscu Warszawianka, czy jakaś znana piosenka żołnierska, Madelon i Tiperary. W pierwszym wieczorze nie odczuwało się też kontaktu sceny z widownią. Coś nie chwyciło. Było to może zmęczenie artystów, od których nie można przecież wymagać, by wszystko tak przeżywali jak widownia rozpalona do białości. W drugim wieczorze kontakt od razu był nawiązany fantastyczną piosenką "Jak my". Wogóle strona piosenkarska /melodie, teksty i wykonanie/ jest bardziej niż cudowna. Piosenki biorą salę. A dopiero, gdy Henryk Haussman zagrał na akordeonie wiazankę starych walców i przebojów polskich - zmikła rampa: sala i scena to było jedno. Dlatego też hymny państwowe na zakończenie drugiego wieczoru nie raziły już tak jak w poprzednim wieczorze, były może nawet potrzebą dla sali.

Można sobie rzucić luźne uwagi na temat obu programów, ale nie można przeprowadzić ich analizy. Oba były wspaniałe. Szczególnie w pierwszym Szczepko i Tonko, a specjalnie ten drugi, zmuszali salę do nieustannego ryku. W drugim programie natomiast Mira Grelichowska, która w recytacji nie jest bez ale, swymi piosenkami nastrojowymi "Śladami piosenki po całej Polsce" poruszyła wszystkie serca i tęsknoty.

O Władzie Majewskiej czy Józefie Wieszczyku nie trzeba pisać. Władza nie straciła ze swego temperamentu i wdzięku, a Józus z Podwydarłej przez swe gadki góralskie i skecze imitacyjne stał się ulubieńcem wszystkich, szczególnie emigracji, która może akcentu lwowskiego tak nie "czuje" jak my.

Przepiękne są i pomysłowe inscenizacje "Album pieśni polskich" i "Mazurki Chopina". Tyle polskiej zadumy, dziarskości i humoru wniósł na salę, taki kawał Polski. Zespół jest tak wyrównany i wszechstronny, że na przykład widząc Szczepka jako krakowiaka, czy znów organistę, widzi się organistę i krakowiaka, nie pamiętając o "kłapaczu" Szczepka.

Nowe, nieznane we Francji piosenki są cudne. Wyzwalają tyle naszych uczuć i doznań i najpiękniej precyzują nasze myśli. "Marynarskie Tango", "Idziemy", "Wojenka"/tango/ "Jak my" /a szczególnie ta ostatnia - poświęcona pierwszej dywizji pancerniej/ - w wykonaniu zbiorowym, lub "List do mojego żołnierzyka" i "Piosenka o dwóch miastach" śpiewane przez Władę Majewską, "Bal-konik na Hożej" i "Marsz Brygady Karpackiej" w miłym i wdzięcznym wykonaniu Władysława Galińskiego - to prawdziwe perełki. Dobrze by się stało, gdyby w jakiś sposób umożliwiono naszej emigracji i żołnierzom ich śpiewanie. Inscenizacja w drugim wieczorze piosenki "Merci Made-moiselle" poświęconej też dywizji pancerniej Maczka jest dobrym półfinałem, jeszcze lepszy jest finał: Lwowska fala w piosence.

Przyrewi - bo czymś w tym rodzaju są występy Wesołej Lwowskiej Fali - widać rękę Wiktora Budzyńskiego. Nie ma dłużyzn, wszystkie mo-

menty dydaktyczne są tak ujęte, że się nie czuje ich sztuczności, prosto każdy z nas tak myśli. Całość skrzy się polskością i lwowskim humorem. Teksty, to same pointy, a wykonanie, to ich umiejętność wydobycie. W sumie - naprawdę dwa wspaniałe i niezapomniane wieczory spędzone w Polsce.

Trochę rozczerowała nas konferansjerka. Łoże Wiktor Budzyński wyszedł z założenia, że numery są już tak dobre i same mówią za siebie, że wystarczy je tylko sucho zapowiedzieć, w każdym razie nie wysilał się wcale, a jedynym przebiegiem zacięcia konferansjerskiego była zapowiedź numeru Józefa Wieszcza o "tej świni z lwowskiego radia".../wygłoszona n.b. nie przez W. Budzyńskiego/. Jakoś angielskie porridge i bekonny dodały trochę tłuszczu a odebrały energii i drygu.

Jest jeszcze pewien moment, który wartoby podnieść na tym miejscu: ogrom trudów, jakie pokonuje cała ekipa i poświęcenia, jakie wkłada w każde przedstawienie. O tym naogół się nie myśli.

Cała falanga mniej lub więcej wygalonowanych i utytułowanych panów i pań pcha się za każdym razem za kulisy, by z uśmiechem gratulować, ścisnąć ręce artystek, artystów, mniej lub więcej protekcyjnie klepać po ramieniu i zadawać wiecznie te same i niezmiennie puste pytania i stwierdzenia, że Tońka za sceną nie wygląda wcale tak głupio, co myśla o polityce, co Anglicy o nas myśla, że Włada już nie jest taki podłotek i każdy opowiada, że ze Lwowa pochodzi, lub we Lwowie raz był na Wschodnich Targach, czy uchodząc z Polski - by w ten sposób zdobyć prawo uściśnięcia ręki tych, o których dziś się mówi. Nigdy nie ma tylu Lwowiaków z urodzenia i sympatii, co przy występach Wesołej Fali.

Artystom jest potrzebne uznanie, to im daje ochoty do gry i pokonywania trudności. Ale trzeba im szczerze nie małostkowych /by potem z dumą opowiadać, że uściśnął dłoń Budzyńskiego lub Grelichowskiej/ uznać. Trzeba im szczerze powiedzieć, że oceniamy ich trudy. Bo dużo woli i poświęcenia wymaga granie prawie co wieczór. Bo się mieszka w zimnych hotelach. Bo się jeździ ciężarówką i to np. przez dwie granice - z Holandii do nas. Bo panie występują w lekkich sukniach nawet gdy publiczność siedzi w płaszczech i tupie nogami, bo zimno. Bo nie wolno mieć artystom żadnych niedyspozycji, trzeba grać i wciąż grać. W Holandii grali np. na wysuniętych placówkach, w zburzonych domach, do których musieli się cichaczem dostawać przy akompaniamencie nie Haussmana ani Rapackiego, ale przy wtórze granatów i kul. Trzeba przebierać się wciąż w zimnie. I za to należy się uznanie i wdzięczność.

Nikt im tych prostych słów nie powie. Nikt nie uśmiechnie się szczerze i jasno. Każdy tylko pcha się za kulisy, by im gratulować i tym zdobyć prawo do porządnej kolacji, z jaką zwykle występują kasyna stacyj zbornych, przyjmujące naszych najlepszych propagandzistów.

W dniu 18 stycznia Wesoła Lwowska Fala dała jeszcze jedno przedstawienie w teatrze Daunou dla członków i gości towarzystwa France-Pologne.

Pomysł urządzenia tego przedstawienia uważać należy trochę za chybiony, a w każdym razie nie spełniający oczekiwań publiczności francuskiej i polskiej, która wie, iż można było coś lepszego Fracuzom pokazać. Gdy zapowiada się Reprezentacyjny Teatr Wojska Polskiego, a daje się przeciętny program naszpikowany fokstrotami, a

nie motywami polskimi, gdy nie wyzyskuje się bogatych strojów polskich posiadanych przez zespół i gdy - najważniejsze - nie tłumaczy się Francuzom, że oczywiście gros programu opracowane jest dla Polaków i w języku polskim, wobec czego program międzynarodowy /francusko-angielsko-polski/ jest siłą rzeczy słabszy - nie oszczędza się widowni wrażenia, że do żołnierza teatr reprezentacyjny idzie z tym samym, czyli z przeciętnością.

Program zawierał: Walce polskie w wykonaniu W. Rapackiego i H. Haussmana na dwóch pianinach - Arie operowe z Halki, Carmen i Benvenuto Cellini odśpiewane przez W. Galińskiego - Solo akordeonowe H. Haussmana /Offenbacha Orphée, Suppé'go Lekka kawaleria, Kujawiaki/ - Marynarskie tango w wykonaniu całości - Melodramat utworu "naszego poety narodowego" /według konferansjera/ A. Słonimskiego "Alarm" w tłumaczeniu angielskim, przez M. Grelichowską - Fokstroty na dwa pianina - Piosenki W. Majewskiej /ang. franc. i polskie/ - Imitacyjny skecz J. Wieszcza /część słowna po angielsku/ - Piosenki W. Galińskiego: Marsz Brygady Karpackiej /pol./ Chanson du Désert /fr./ Marche des Vagabonds /ang./ - Solo akordeonowe pieśni polskich i tango "Jalousie" - Mazurki Chopina, inscenizacja - Trzy hymny narodowe. Konferansjerka W. Galiński.

Wszystkie numery przyjmowane były okłaskami, ale nie było w nich żywiołości. Polskość była stanowczo za mało uwzględniona w programie. Konferansjerowi radzimy, by w podzięce za szczerą brawa nie odzywał się do wyborowej publiczności: merci, foule!, a reżyserowi, by nie dopuścił do puszczenia czerwonych świateł na scenę, w których gubią się właśnie czerwony kolor strojów ludowych, dając w sumie brudny i które postarzają artystki.

W sumie - było dobrze, ale mogło być lepiej.

W sobotę 20 stycznia b.r. w godzinach popołudniowych wystąpiła Wesoła Fala Lwowska w salach Ambasady R.P. w Paryżu. Godzinny przeszedł program to dawny przedwojenny Podwieczorek przy mikrofonie. Program tym razem wyborowy, aczkolwiek bez Szczepka i Tońka, bez strojów, bez zbiorowych numerów. Po raz pierwszy usłyszeliśmy Wieszcza jako strzelca Makutrę w swych kapitalnych monologach żołniersko-politycznych i Mirę Grelichowską w pięknym wierszu Budzyńskiego: Wschodni Targ. Całość przemila, choć wszyscy oczekiwali Szczepka i Tońka.

W tym samym dniu wieczorem w sali teatru Marigny Wesoła Lwowska Fala jako członek E.N.S.A. dała program w języku angielskim dla żołnierzy alianckich, przebywających w Paryżu.

Cały bogaty w występy i wrażenia pobyt Wesołej Lwowskiej Fali w Paryżu ostatnie nam na długo w pamięci. Dziękujemy, jeszcze raz dziękujemy za kilka przemiłych wieczorów.

J.

W ZUCIOM
polskiego

KONCERT GRABOWSKIEJ I BLACKOWNY

Dnia 16 stycznia b.r. odbył się w Paryżu w sali Gaveau récital muzyki polskiej z udziałem skrzypaczki p. Jadwigi Grabowskiej, która wykonała utwory Szymanowskiego, Wieniawskiego, Zarzyckiego, Szalowskiego, Maklakiewicza i Andrzej-

jowskiego - 1 z udziałem pianistki p. Mayi Błażkówny, która odegrała Balladę, Sześć etiud, Nokturn, Dwa mazurki i Polonez Chopina. Jako akompaniator skrzypaczce wystąpił p. Jean Gaillard.

Koncert odbył się pod egidą Towarzystwa France-Pologne na dochód prac Polskiego Czerwonego Krzyża.

Szkoda, że stosunkowo nieliczna publiczność przybyła na koncert. Zimna sala nie stwarzała warunków do przyjęcia pięknej muzyki.

Z ruchu wydawniczego

Polski Czerwony Krzyż we Francji wydał ostatnio dwa zeszyty-odczyty, zapoczątkowujące serię p.t. "Czytajmy sobie". Są to broszurkowe wydawnictwa przeznaczone głównie dla starej emigracji, mające zastąpić pośrednio brak odpowiednich prelegentów, którym w dzisiejszych czasach trudności komunikacyjnych niełatwo byłoby dojechać do skupień polskich.

Opracowanie - aczkolwiek popularne - jest bardzo rzeczowe i ścisłe: mamy na myśli doskonałe szkice wprowadzające w temat. Forma graficzna trochę słaba, przydałyby się okładki - ale dzisiejsza sytuacja na rynku papierniczym tłumaczy te drobne niedociągnięcia.

Tytuł zeszytu pierwszego: "O tymże dumać na paryskim bruku" - wyjątki z "Pana Tadeusza" A. Mickiewicza - drugiego: "Blaski Powstania Styczniowego" - szkice i życiorysy R. Traugutta i T. Hauke-Bossaka. Cena zeszytu 3 fr. Można zamawiać w Delegaturze P.C.K. 23, rue Taitbout, Paris IX-me.

MIĘDZY NAMI

z życia i działalności

Y.M.C.A.

Y.M.C.A. w służbie dla wojska

W ciągłym i nieprzerwanym dążeniu służenia żołnierzowi, Polska Y.M.C.A. we Francji, prócz rozszerzania i pogłębiania akcji kulturalno-oświatowej w ścisłym tego słowa znaczeniu, zorganizowała w ostatnich tygodniach inny jeszcze dział, zaspakajający potrzeby materialne żołnierza: dział kantyn.

Po otwarciu takich kantyn w ośrodkach północnych, przyszła kolej i na Paryż, gdzie w koszarach W.P. w Bessières odbyło się w dniu 13 stycznia otwarcie kantyny wojskowej, zorganizowanej przy istniejącym już tam ognisku Y.M.C.A.

Skromną bardzo, lecz miłą tę uroczystość zaszczycił swą obecnością dowódca obozu p. pułk. Kardasiewicz z gronem swych najbliższych współpracowników, Prezes Polskiej Y.M.C.A. we Francji, p. L. Toydat, delegaci korpusu oficerskiego obozu oraz złożone z podoficerów i strzelców delegacje poszczególnych kompanij zakwaterowanych w obozie.

Kierownik ogniska Y.M.C.A. w obozie, kol. Jodłowski, w krótkim inauguracyjnym przemówieniu podkreślił celowość stworzenia takiej placówki w koszarach, dziękując równocześnie p. pułk. Kardasiewiczowi nie tylko za nad wyraz życzliwe ustosunkowanie się do samego projektu kantyny, lecz również za wydatną pomoc i opiekę przy jej organizowaniu.

Nowej placówce przesyłamy życzenia: Szczegół Boże!

An.

ODCZYTY I NARRACJE PROF. R. TARCZYŃSKIEGO

Znany prelegent p. prof. Rudolf Tarczyński wygłosił w dniach 2-11 stycznia b.r. jedenastoce referatów i narracyj w Ogniskach Polskiej YMCA w stacjach zbórnych Wojska Polskiego w Paryżu, Lille i Roubaix.

Tematy narracyj były jednakowe: 1/o Polskiej Armii Krajowej i tragicznie Warszawy, 2/o wkladzie emigracji polskiej w walce o niepodległość Polski, 3/o Wielka Brytania, jej ustroj polityczny i kultura. W Roubaix na życzenie słuchaczy wygłosił prelegent Y.M.C.A. dwie inne pogadanki p.t. Nasz w Ameryce i Samochodem od Atlantyku do Pacyfiku - w miejsce tematów znanych miejscowemu środowisku. W Lille odczyty miały miejsce w koszarach Plein-Air i w Dowództwie Stacji Zbornej. Ponadto w Paryżu w koszarach Bessières urządził prelegent pokazową lekcję języka angielskiego, która cieszyła się dużym powodzeniem i wielu zachęciła do nauki tego języka.

ODCZYTY POLSKIEJ Y.M.C.A.

Piąty odczyt Polskiej Y.M.C.A. w Bibliotece Polskiej w Paryżu był poświęcony Prusom Wschodnim.

Prelegent, p. Józef Zieliński, po krótkim wstępie historycznym, omówił warunki demograficzne i gospodarcze Prus Wschodnich pod panowaniem niemieckim. Naogół warunki geograficzne nie są dobre. Brzeg dość dobrze ukształtowany i przydatny do żeglugi morskiej, dwie rzeki spławne, ale klimat jest ostry, podobny do klimatu górskiego na wysokości 800 m. i zły dla rolnictwa, gdyż okres pracy na roli jest ograniczony. Stąd w krótkim czasie trzeba wiele rak do pracy rolniczej, które następnie w ciągu długich miesięcy trzeba żywić i znaleźć dodatkowe zajęcie w przemyśle głównie chałupniczym. Nawet żegluga jest nieczynna przez 3 miesiące skutkiem zamrznięcia. Zresztą strefy rolne są słabo urodzajne i delty Wisły i Niemna trzeba uregulować. Strefa południowa piaszczysta nie nadaje się do uprawy roli, wiele moczarów /Błota mazurskie/. Kraj więc o średnich możliwościach rolniczych.

W Prusach Wschodnich nie ma też żadnych kluczowych surowców, brak nawet kamienia budowlanego. Z bogactw kopalnianych to tylko nieco bursztynu wydobywa się. Lasy padły w XIX w. ofiarą gospodarki rabunkowej, tak że stan zalesienia jest niższy niż w Polsce.

W XVIII w. Prusy Wschodnie przeszły na gospodarkę hodowlaną, ekstensywną zresztą, przyczem stan hodowli był gorszy niż w Niemczech.

Większość gospodarstw rolnych należy do wielkich właścicieli ziemskich /Junkrów/, bo 3 proc. rolników posiada przeszło połowę własności ziemskiej /4000 folwarków/.

Produkcja rolna jednak w Prusach Wschodnich jest wybitnie deficytową tak, że rolnictwo było sztucznie podtrzymywane przez rząd. Przyczyną tego fatalnego stanu rolnictwa było: 1/ wyższe koszty produkcji wobec złych warunków naturalnych, ostry klimat, zła gleba, brak rak roboczych na miejscu; 2/ wadliwa struktura społeczna /50 proc. wielkiej własności/; 3/ słabe uprzemysłowienie kraju.

Przemysł i handel b. słabo rozwinięty /zynościoły, drzewny, mleczarski i młynowy/.

Dwa większe centra przemysłowe w Królewcu i Elblągu. Cztery fabryki celulozy, stocznia w Elblągu i fabryka wagonów w Królewcu. Mimo rozwiniętego wybrzeża żegluga morską zaniedba-

na/zatrudnionych 476 osób/ tak że Prusy Wschodnie importowały ryby.

Balans ujemny w ciętarze i finansowo. Prusy Wschodnie nie są wystarczalne nawet w dziedzinie produkcji rolniczej i hodowlanej. Spółki akcyjne są nierentowne, tylko 2 proc. płatników płaci podatek dochodowy. Dochód społeczny w Prusach Wschodnich był niższy niż w Niemczech /ludność w 1933 r. wynosiła 2.330 tys. W ośmiu powiatach południowych większość polska, w miastach zaś poza Szczecinem - niemiecka/. W sumie mieszkanka w Prusach Wschodnich około 300 tys. Polaków.

Jak z powyższych danych wynika Prusy Wschodnie nie mogą żyć i rozwijać się gospodarczo w kierunku poziomym w łączności z Niemcami. Wykazało to wielokrotne doświadczenie. Powrót więc Prus Wschodnich do Polski będzie naprawieniem błędów gospodarczych i politycznych i pozwoli na prawdziwe wykorzystanie tych terenów, które obecnie zamierają gospodarczo.

Oto wniosek - zakończył prelegent - który rzuca się w oczy, po dokładnej analizie stosunków wewnętrznych Prus Wschodnich pod panowaniem niemieckim: Prusy Wschodnie mogą się rozwijać tylko w oparciu o swoje zaplecze naturalne, jakim jest Polska.

W pierwszej połowie stycznia odbyły się 3 odczyty wchodzące w skład programu stałych wykładów urządzanych przez Polską Y.M.C.A. w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Pierwszy odczyt komendantki P.Ś.W.K., pani pułk. M.L., poświęcony "Pomocniczej Służbie Kobiet" skupił licznych słuchaczy a zwłaszcza słuchaczki, pragnące "zaangażować się do wojska".

Prelegentka zapoznała obecnych z warunkami przyjęcia i rodzajem do tej służby, której celem jest nie tylko służyć Ojczyźnie w czasie wojny, ale i nauczanie kobiet jakiegoś zawodu, odpowiednio do wykształcenia.

Kobiety-żołnierze zdały już nawet kilkakrotnie egzamin ognia i szczególnie odznaczyły się jako szoferki pod Monte Cassino, gdzie ogromnymi kamionami dowoziły amunicję na linię.

Nie mniejszy cieszył się też powodzeniem drugi odczyt p.t. "Podśluch niemieckich zwierzeń" p. Henryka Korab-Kucharskiego, znanego w Polsce i we Francji redaktora. Świadczy to bardzo dobrze o Polakach w Paryżu, którzy mimo zimna i notorycznego braku czasu w stolicy, nie pomijają okazji do słuchania odczytów związanych ze sprawami Polski. Odczyty Y.M.C.A. są zresztą jedyną okazją, gdzie wszyscy Polacy w Paryżu mogą się zebrać. Nie też dziwnego, że zaczynają one nabierać coraz bardziej intymnego charakteru.

P. Kucharski w barwnym i dowcipnym reportażu przedstawił obrazki z Paryża podczas okupacji niemieckiej. Był on również świadkiem rozmów prowadzonych w kafejce pomiędzy redaktorami francuskimi, a oficerami niemieckimi, którzy dawali rozkazy, jakie i w jakim stylu mają być pisane artykuły w gazetach. Odczyt przyjęto hucznymi oklaskami, które wzruszyły p. Kucharskiego, będącego już zresztą w podeszłym wieku.

Trzeci odczyt p.t. "Polacy w Ameryce Południowej", wygłosił p. por. Nowiński, który przez 18 lat pracował jako kolonizator w Ameryce Południowej. To co mówił p. Nowiński, to była rzeczywistość polskiego emigranta. Rzeczywistość ta, to pierwsze ciężkie lata pracy, które decydowały o całej przyszłości emigranta. Trzeba było się zabrać umiejętnie do karczowania lasu, aby nie wysuszyć gleby, ale dzięki solidarności i zbiorowej pracy wszystkich kolonistów danego ośrodka,

karczowanie szło sprawnie. Rzeczywistość, to była konieczność znalezienia materiału i wybudowania domu w pierwszych trzech latach, bo później skutkiem klimatu /60° w cieniu/ człowiek stał się niezdolny do ciężkiej pracy. Ale chłop polski twardy, wytrzymały i pracowity, umiał pokonać trudności i zbierał plony z pracy dokonywanej więcej niż w pocie czoła.

To też wartość tego odczytu, jak zaznaczył na zakończenie p. prezes Woydat - polegała na przedstawieniu wrażeń człowieka, który przez wiele lat żył życiem polskiej emigracji w Ameryce Południowej i dzielił ich troski, trudy i radości.

L. K.

Przysłowia są mądrością narodów

Sam zły duch znosi na kupę kamienie, z których powstaje dom Boży.

/przysłowie francuskie/

Jeden głupiec więcej potrafi zaprzeczyć, niż stu filozofów udowodnić.

/przysłowie łacińskie/

Serce ludzkie podobne jest do kamienia młyńskiego. Wypiesz pod niego pszenicę, to zetrze ją na mąkę; nie wypiesz, to zetrze także, ale samego siebie.

/przysłowie średniowieczne/

Gdzie władcy utykają, tam pochlebcy chodzą o kuli.

Świat utrzymuje się w równowadze czterema rzeczami: nauką mądrego, sprawiedliwością silnego, męstwem walecznego, modlitwą cnotliwego.

/przysłowie arabskie/

Proch na sukni mądrego więcej jest wart, niż złoto w kieszeni niemądrego.

/przysłowie chińskie/

Szukaj kwiatu pokoju jaki rozkwita w ciszy po burzy, - ale nie przedtem.

/przysłowie indyjskie/

Kłamstwo obiegne połowę miasta, zanim prawda wdzije buty.

/przysłowie czeskie/

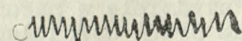
Najwięcej czasu ma człowiek, który niczego na później nie odkłada.

Czas i cierpliwość zmieniają liść morwowy w jedwab.

/przysłowie chińskie/

Smutek i zniszczone odzienie trzeba, wychodząc, zostawić w domu.

/przysłowie japońskie/



- Odpowiedzi redakcji -

p.J.Gulińska,Challes-les-Baux - Korespondencji z 11-go listopada nie zamieściliśmy,bo poczta doręczyła ją nam za późno. Prosimy o stałe nadsyłanie korespondencji i własnych utworów. Serdeczne pozdrowienia.

p.prof.R.Tarczyński-Paryż - Ze względu na brak papieru i trudności techniczne nie możemy uczynić zadość prośbie Pana. Prosimy o współpracę i opisy Pańskich objaśnień.

p.Czerny,Tulle - Dziękujemy za nawiązanie kontaktu. Wiersz "Granica" jest ładny,ale trochę za rozwlekły. Poezja to nie pig-trzenie rymów. Niech pan dużo czyta i niech pan nie rzuca pisania. "Razem" jest bezpłatne. Będziemy stale nadsyłać. Brakujące numery wysyłamy.

p.W.Pieszczek,Echirolles - Za życzenia świąteczne dziękujemy. Wyniki konkursu ogłosiliśmy w numerze 7-8. Pismo będziemy stale wysyłać.

p. H.Rossa,Seraingourt - Niestety nie posiadamy narazie żadnych sztuk ludowych dla teatru amatorskiego. Wysyłamy nasze wydawnictwa teatralne,za resztą się rozglądniemy; "Razem" będziemy stale nadsyłać.

p.B.Szpiega,Lyon - Narazie nie wykorzystujemy ze względu na nawał materiału i utyskiwania Czytelników,że za dużo wierszy. Prosimy jednak nie zapominać o nas.

p.W.Nasikowski,Lyon - Urywki pamiętnika otrzymaliśmy. Chociaż się nam podobały,nie zamieścimy,bo samotność /w nich propagowana/ jest zjawiskiem społecznym. Prosimy o przyrzucone artykuły medyczne - i coś w rodzaju felietonu z Nr.7-8 co się bardzo Czytelnikom podobało.

p.J.Czopyk i A.Skałeczki /Lot et Garonne/ - prze-kazane przez nasze Kurasy Korespondencyjne prośby otrzymaliśmy. Będziemy Panom stale przysyłać "Razem".

Humor

- Więc chcesz powiedzieć, że ukradłem ci tę złotówkę?
- Nie,mówię tylko, że z pewnością znalazłbym ją,gdybyś mi nie pomagał szukać.

Zarządzenie

Zarządzenie: "Wszyscy uczniowie wezmą udział w najbliższą niedzielę w nabożeństwie. Zbiórka odbędzie się przed kościołem za kościołem, a po kościele przed kościołem.

Kuracja

Pan Zenobiusz straszliwie się jękał. Wysła-no go zatem do szkoły dla jękałów,skąd po trzy-letnim pobycie miał powrócić z wymową Demostene-sa /sławny mówca grecki/.

Po trzech latach pan Zenobiusz wyleczony powrócił do domu.

- Dzień dobry,Zenku - zagadnął go pewnego rodzaju kolega - jak się czujesz. Nie jękaasz się już?

- Z..z..z..u..peł..zupeł..zupełnie się nie jękam.

- Jaktó,przecież słyszę jednak, że się ja-kasz!

- Bo to z to..to..tobą sta..ary prz..przyja-cieliu nie chcę r..r..robić ce..ce..cere..cere-moni!

Wymowny telegram

Dyrektor ogrodu zoologicznego przebywający na urlopie w miejscowości kuracyjnej otrzymuje telegram tej treści: "Stary szympana zdechł. Czy mam sprowadzić nowego, czy też czekać na po-wrót pana dyrektora".

Recepta.

- Czy postąpił pan według mojej recepty na bezsenność i rachował pan?

- Tak, do 24.458...

- A potem pan zasnął?

- Nie, potem był czas wstawac.

W sądzie.

Mały Janek występuje w sądzie jako świadek

- Jak się nazywałeś,moje dziecko?

- Jan Ikański.

- Ile masz lat?

- Dziesięć.

- Religia?

- Dostatecznie, proszę pana.

.....

- Tatusiu,co to jest nocna restauracja?

- To jest taka restauracja,z której goście wychodzą w biały dzień.

.....

- Podobno pan,panie Bikeles,ochrzcił się niedawno?

- Dlaczego nie miałem się ochrzcić?

- A jakie imię pan otrzymał na chrście?

- Naturalnie Mieczysław.

- A to dlaczego?

- Bo ja pierwszy zaprowadziłem w naszym ro-dzie chrześcijaństwo.

Wróżba

- Aż do czterdziestego roku życia będzie pan żył w wielkiej nędzy...

- O joj... a potem?

- A potem się pan przyzwyczai.

SZALONY MATURZYSTA

Pan Teofil Pregat alkoholikiem nie jest, należy jednak do 100 procentowych mężczyzn, którym zależy na utrzymaniu opinii.

To też gdy przyjaciel jego pan Antoni Biskupek zarzucił mu, że nie potrafi naczczo wypić głupiego litra wódki, pan Teofil postanowił poddać się tej próbie.

Obaj przyjaciele, zaopatrując się w "matkę" czystej wybotowej, usiedli o godzinie 6 rano na Placu Broni. Do "jury" konkursu zaproszono 5 szoferów miastowych autobusów, oraz 2 przechadzające się w pobliżu dziewice.

Pan Biskupek z namaszczeniem otworzył butelkę i wręczył ją egzaminowanemu.

Kandydat na 100-procentowego mężczyznę spojrzał wokół z dumną miną i rozpoczął popis.

Pierwsza ćwiartka butelki przeszła z wesołym bulgotem przez gardło absolwenta, który nawet się nie skrzywił, ale już po chwili zażądał dwu plasterków włoskiego salcesonu. Jury po krótkiej naradzie odmówiło. Wówczas abiturient zredukował swoje wymagania do jednego korniszona. Ale i to spotkało się z odprawą.

Wówczas pan Teofil spojrzawszy z wściekłością na egzaminatorów, rzekł przez zęby:

- Pożałujeta tego, taka wasza pieska niebieska!

Poczym przymknawszy oczy, ssął szyjkę butelki długo i spokojnie, jak dziecię pierś matczyną.

Komisja patrzyła na to z uznaniem, celująca opinia była prawie zapewniona, gdy nagle kandydat oderwał butelkę od swych ust, spojrzał dokoła rozbawionym wzrokiem i wyrzucił opustoszałym naczyniem w łeb pana Biskupka. Elegancko się potem skłonił przyjacielowi i zdjąwszy spodnie począł się wspinać na słup latarni elektrycznej. Za chwilę był już na szczycie.

Zręcznym bykiem rozbił klosz latarni i rozmontował jej wnętrze, poczym swobodnie opuścił się na dół, ujął leżący opodal drąg żelazny i ruszył w stronę stojących na stacji autobusów.

W karecie "Warszawa" siedziało 15 kupców, rozmawiających żywo o interesach.

Łatwo sobie wyobrazić ich zdenerwowanie, gdy ujrżeli w drzwiach nieznajomego pana z okrwawionym obliczem, z żelaznym drągiem w ręku i bez spodni.

Pan Pregat obrzucił ich nieprzychylnym wzrokiem i zapytał wręcz, dlaczego odmówili mu korniszona. Niektórzy z kupców usiłowali się tłumaczyć, że nikt się do nich o korniszony nie zwracał, ale dwu czy trzech spojrzawszy na pobliski szpital Św. Jana Bożego, krzyknęło:

- Myszygene!

- A bonifrater! Entlojft!

I cała zawartość autobusu jednocześnie usiłowała przedostać się przez wąskie drzwi na ulicę.

Oczywiście wywołało to wielkie zamieszanie, czym zdenerwowany pan Pregat począł demolować wnętrze wozu i niektórych kupców.

Nadbiegła na to komisja egzaminacyjna, która chcąc uspokoić pijaka, wybiła resztę szyb w autobusie i znacznie uszkodziła karoserię.

Wezwana policja otoczyła szalejący autobus i jęry wraz z kandydatem stanęło przed sądem starościńskim.

Panowie Pregat i Biskupek otrzymali po tygodniu aresztu, reszta egzaminatorów zaś po 3 dni.

Nie dosiyszał

- Czy nie uważa pan, że moja żona śpiewa czarująco?

- Przepraszam, co pan mówi?

- Pytam się, czy się panu podoba głos mojej małżonki?

- Pan wybaczy, ale ta baba tak się wydziera, że nie rozumiem, co pan do mnie mówi.

Uczeń

- Panie dyrektorze - powiada woźny zakładu naukowego - telefon dzwoni. Dyrektor poszedł do sali konferencyjnej.

- Hallo! Tu dyrektor.

- Chciałem uprzedzić, że syn mój Karol N. nie może przyjść jutro do szkoły z powodu silnego kataru.

- Dobrze, dobrze... - odpowiada dyrektor, poczym zdziwiony dzieciennym głosem, rozbrzmiewającym z telefonu, pyta: - Proszę powiedzieć kto telefonuje?

- Mój ojciec! - oświadcza tenże głosik.

Siła hipnozy.

Siła hipnozy jest rzeczywiście niestychana. Siedziałem w tramwaju naprzeciwko jakiejś damy. Postanowiłem ją zahipnotyzować. Zaczynam więc wpatrywać się w nią, powtarzając w myślach: "Wysiadź! Wysiadź! Wysiadź!..." I rzeczywiście po kwadransie dama wysiadła z tramwaju.

Zagadka.

- Co to jest: im więcej się ciągnie, tym jest krótsze?

- Nie wiem...

- Papieros.

Mleko krowie.

Mister Walker z Chicago pojechał autem w podróż do brytyjskiej Kanady. I - jak się to często przy turach automobilowych zdarza - uległ katastrofie. Na szczęście znaleźli się zaraz ludzie i zanieśli go do pobliskiej chaty, gdzie dla pokrzepienia dano mu mleko, zmieszane z wódką.

Mister Walker wypił mleko jednym haustem; błogi uśmiech ukazał się na jego twarzy i wyszeptał:

- Dwa tysiące dolarów za tę krowę!

UWAGA! ZMIANA ADRESU :

"RAZEM" POLSKA Y.M.C.A. WE FRANCJI

23. RUE TAITBOUT - PARIS (IX)

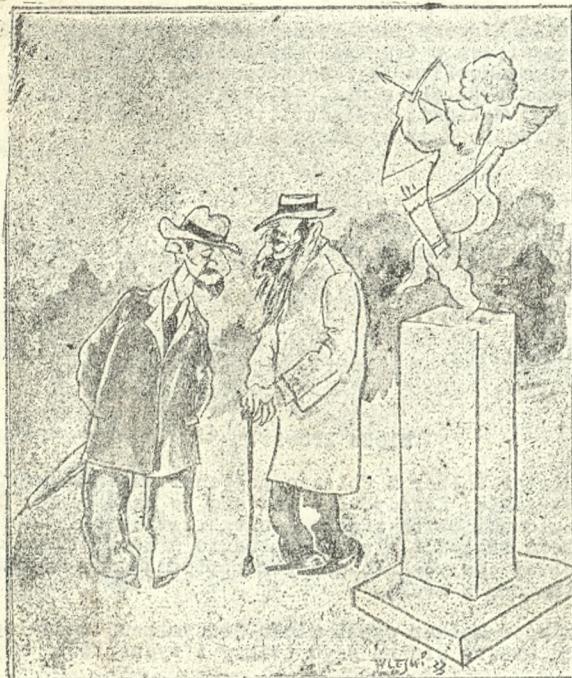
Syn fotografa



Popatrz, Pawełku, tam idzie przez ulicę negatyw



— Pojedzie pan na Mokotów?
— Pojadę!
No to jedź pan. Ja idę w inną stronę.



Wspomnienie.

— Pan możesz sobie wyobrażać, przez tego robuza czterdzieści lat temu paskudnie wpadłem, a teraz temu ten pomnik postawili.

ROZRYWKI

Rozwiązania należy nadsyłać do 15-go przyszłego miesiąca.

1	A	N	T				
2		A	N	T			
3				A	N	T	
4					A	N	T
5						A	N
6							A
7				A	N	T	
8		A	N	T			
9	A	N	T				

W dziewięć rzędów zagadki należy wstawić 9 słów o poniższym znaczeniu:

1. zwierzę afrykańskie
2. rodzaj obuwia
3. nazwa oceanu
4. drogic kamienie
5. stopień wojskowy
6. imię i nazwisko polskiego świętego
7. oznacza człowieka marzącego i poetę z początku XIX w
8. inaczej marzenie
9. modlitwa, błagalna.

Z każdego słowa znane są 3 litery ant; liter tych nie wolno przestawiać.

Konikówka



Ruchem konika szachowego odczytać myśli znanego poety polskiego